Egzemplarz obowiązkowy
BIBLIOTEKA
UMCS
LUBLIN

KIM PAN BYŁ, GENERALE?

Pierwowzór Klossa i Stierlitza działacz polityczny, b. więzień Zamku gen. bryg. Artur Jastrzębski vel Ritter

DRUK JEGO SENSACYJNYCH WSPOMNIEŃ ROZPOCZYNAMY NA STR. 8-9

ROK ZAŁOŻENIA 1933

Kamena

LUBLIN 30 XI 1975 NR 24 (588) DWUTYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY CENA 3 ZŁ

BIAŁA PODLASKA DO KTÓREJ LIGI?
Maciej Podgórski str. 6

W TEATRZE PRZYPŁYW!
Maria Bechczyc-Rudnicka str. 7

MIĘDZY ZJAZDAMI

Zakłady Azotowe w Puławach weszły już na stałe w krajobraz naszego regionu. Ale ważniejsze jest to, że dzięki produkowanym tam nawozom sztucznym nasze rolnictwo osiąga coraz wyższe plony. Nową częścią ZA będzie wytwórnia kaprolaktamu, której budowa dobiega końca. Oto fragment instalacji tej wytwórni.

Fot. J. Mirosław

ROZMOWY PRZEDZJAZDOWE

Jakość pracy jakość życia

W nowej strategii społeczno-gospodarczego rozwoju naszego kraju coraz większa rola przypada naukom ekonomicznym i ekonomistom. Dlatego też w przededniu VII Zjazdu Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej zaprosiliśmy do redakcji kilkoro ekonomistów, aby porozmawiać na niektóre tematy, łączące się zarówno z upływającym jak i zbliżającym się pięcioleciem. W rozmowie udział wzięli: mgr Henryk Borowiec — główny specjalista do spraw ekonomicznych w Oddziale Wojewódzkim Narodowego Banku Polskiego w Lublinie, doc. dr hab. Wacław Grzybowski — dyrektor Instytutu Ekonomii Politycznej i Planowania UMCS, dr Romuald Poliński — adiunkt tego Instytutu, mgr Grażyna Siedlaczek — pracownik Ośrodka Projektowania Przetwarzania Danych „Predom-Org."; redakcję reprezentował red. Jerzy Dostatni.

J. Dostatni: — Chciałbym najpierw zwrócić naszą uwagę na impulsy, które spowodowały lub przyczyniły się do notowanego od 1971 roku dynamicznego rozwoju naszego kraju, impulsy, które należy podtrzymać, a także hamulce, które trzeba jeszcze zwolnić. Chodzi przecież o to, aby poprzez lepszą jakość pracy poprawić jeszcze bardziej jakość naszego życia.

W. Grzybowski: — Najważniejszym impulsem było odważne podejście do procesów gospodarowania. W latach 1950—1970 ukształtowała się pewna rutyna działania, nacechowana zbytnią ostrożnością. A Polak chyba lubi sprawy trudne i odważnie rozwiązywane, ceni kierowników, którzy o tych sprawach mówią. A to właśnie charakteryzuje nowe kierownictwo. Druga sprawa: gospodarka polska przez kilkanaście lat była zbyt zapatrzona we własne osiągnięcia, w realizację niektórych wskaźników dla wskaźników. Pod koniec lat sześćdziesiątych nasze kontakty gospodarcze ze światem stały się zbyt jednostronne, ograniczone głównie do handlu, a nie do ścisłych więzi z dynamiką myśli — techniki światowej. I trzeci czynnik: propozycje nowego kierownictwa trafiły na podatny grunt. Gdyby nasze społeczeństwo było zmurszałe, propozycje te by nie kiełkowały. Społeczeństwo od dawna oczekiwało czegoś odważniejszego i dlatego odpowiedziało wzmożoną aktywnością. W zachowaniu się ludzi widzę najważniejszy czynnik dynamizacji.

R. Poliński: — Moim zdaniem główną przyczyną były dążenia do zmiany strategii rozwoju społeczno-gospodarczego kraju, która zerwała z polityką deflacyjną, a więc niskich płac i niskich cen. Poprzednia polityka uniemożliwiała wykorzystanie wszystkich czynników rozwoju, a przede wszystkim czynników jakościowych. Za ważny impuls uważam także nową politykę kadrową, a więc stawianie na wysokie kwalifikacje, na ludzi dynamicznych i niecierpliwych, mających wysokie wartości moralne i polityczne.

J. D.: — Już w roku 1971 unieważniono lub skodyfikowano tysiące przepisów, które skutecznie hamowały inicjatywę i działanie ludzi dynamicznych.

R.P.: — Hamowały w pewnym tylko sensie, bo dotyczyły raczej nie samej gospodarki, ale jej funkcjonowania, stylu podejmowania decyzji. Doskonalenie systemu planowania i zarządzania gospodarką, polegające na rozszerzeniu inicjatywy bezpośrednich wykonawców planu, z jednoczesną zmianą roli planowania centralnego, umocnienia funkcji koncepcyjno-strategicznych tego planowania — wszystko to spowodowało wyzwolenie nowych źródeł aktywności ludzkiej, w tym kadry kierowniczej gospodarki. I tutaj należy dopatrywać się przesłanek wzrostu roli kwalifikacji, wzrostu roli innowacji techniczno-organizacyjnych.

Grażyna Siedlaczek: — Ja za główny impuls uważam zwracanie się przedstawicieli władz do ludzi, konsultowanie z nimi projektów zasadniczych decyzji, informowanie ich o tym, co się

Dokończenie na str. 4—5

Gospodarować jak najrozsądniej

TEN dzień — 21 listopada 1975 roku — przejdzie do kronik polskiego górnictwa. W obecności I sekretarza KC PZPR, Edwarda Gierka, i prezesa Rady Ministrów, Piotra Jaroszewicza, dokonano wmurowania aktu erekcyjnego pod budowę Lubelskiego Zagłębia Węglowego. Uroczystość odbyła się w Bogdance, gdzie powstaje pierwsza kopalnia pilotująco-wydobywcza.

Na spotkaniu przywódców partii i rządu, gospodarzy województwa lubelskiego, przedstawicieli resortu górnictwa z budowniczymi kopalni zabrał głos prezes Rady Ministrów, Piotr Jaroszewicz. Oświadczył on m. in.:

Budowa lubelskiego zagłębia jest wielkim przedsięwzięciem inwestycyjnym i społecznym. [...] Daje się to niecodzienne przedsięwzięcie porównać tylko z największymi budowlami socjalizmu w naszym kraju. I z tych wielkich budowli, jest to jedna z największych. [...] Ma swoją symboliczną wymowę fakt, że ta ogromna inwestycja nabiera rozmachu właśnie teraz, na kilkanaście dni przed VII Zjazdem Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej. Nie jest to dzieło przypadku, lecz stanowi logiczne następstwo i kolejny wyraz śmiałej polityki przyśpieszonego rozwoju gospodarki i życia, która tak wielkie przyniosła już owoce, a w uchwałach VII Zjazdu, zmierzających do dalszego rozwoju Polski, do poprawy jakości pracy i życia naszego narodu, znajdzie kontynuację i twórcze rozwinięcie. [...] Węgiel jest naszym największym bogactwem, naszym złotem. Ofiarna praca górników, czołowego oddziału klasy robotniczej, zaspokaja od trzech dziesięcioleci paliwowe potrzeby Polski Ludowej. Przysparza krajowi wiele niezbędnych dewiz na import tych surowców, których u siebie nie mamy, a także na zakup maszyn, licencji, technologii oraz towarów konsumpcyjnych przeznaczonych na rynek. Musimy tym naszym narodowym bogactwem gospodarować jak najrozsądniej. Musimy je pomnażać, a jednocześnie oszczędnie i racjonalnie zużywać węgiel i korzystnie go sprzedawać za granicę. Chcemy również to nasze czarne złoto przetwarzać na nowe, coraz szlachetniejsze nośniki energii, na paliwa płynne, które zastąpią ropę naftową, i na bardzo wartościowe i potrzebne dla rozwoju przodujących technologii produkty chemiczne. [...] Dzięki modernizacji kopalń starych i budowie nowych, dzięki nowoczesnej technice i organizacji, które coraz efektywniej wspomagają pracę górnika, wydobycie węgla kamiennego zwiększyło się w Polsce ze 140 mln ton w 1970 roku do bez mała 172 mln ton w bieżącym roku. Za lat 15, jak się dziś szacuje, będziemy potrzebowali 250 mln ton węgla kamiennego. Górnictwo śląskie zamo temu nie podoła. [...] Na budowę Lubelskiego Zagłębia Węglowego, na jego zaplecze i infrastrukturę przeznaczamy w przedziale lat piętnastu ogromną kwotę ok. 50 mld złotych.

* * *

Kilka dni przedtem, 17 listopada, Piotr Jaroszewicz uczestniczył w Przedzjazdowej Wojewódzkiej Konferencji Sprawozdawczo-Wyborczej w Chełmie i tutaj również wygłosił przemówienie. Oto kilka interesujących danych i myśli, zawartych w jego wystąpieniu:

◆ Produkcja przemysłowa w bieżącym pięcioleciu wzrośnie o 73 proc., a rolnicza — o blisko 27 proc. Dochód narodowy wzrósł o 62 proc. przy planie 38 do 39 proc.

◆ Znaczną część dochodu narodowego kierowaliśmy na inwestycje. Na przemysł spożywczy, a więc głównie na zakłady mięsne, mleczarskie, przetwórstwa owoców i warzyw, chłodnie wydaliśmy w tym pięcioleciu tyle, ile mniej więcej w całym ubiegłym ćwierćwieczu.

◆ Osiągnęliśmy wzrost płac realnych o 40 proc. Wskaźniki spożycia żywności na jednego mieszkańca w Polsce zbliżają się do poziomu spożycia poszczególnych artykułów w krajach wysoko rozwiniętych, wyżej rozwiniętych od nas.

◆ Nie zaniedbujemy rozwoju perspektywicznego kraju. Daliśmy ogromne środki na rozwój przyszłościowych przemysłów — na budowę huty „Katowice", która ma osiągnąć produkcję 10—11 mln ton stali rocznie, i będzie jedną z najbardziej nowoczesnych technicznie hut w tej części Europy. Rozpoczęliśmy budowę Lubelskiego Zagłębia Węglowego oraz Bełchatowskiego Zagłębia Węgla Brunatnego.

◆ Jesteśmy świadomi w kierownictwie partii i rządu zarówno naszych osiągnięć, jak i naszych braków. Nie uderzają nam do głowy osiągnięcia, jak i nie przesłaniają nam naszych osiągnięć braki i napięcia, które musimy przezwyciężyć.

◆ Jeśli mamy walczyć o wyższą jakość warunków życia narodu, a to jest najbardziej aktualne hasło w naszej pracy po Zjeździe, to przede wszystkim tam, gdzie z dobrych rzeczy i z dobrych surowców robimy zły towar. Na każdym miejscu pracy trzeba wziąć się za jakość pracy. Ilość surowców zużywanych u nas na jednostkę produkcji jest znacznie wyższa przy podobnej cenie niż za granicą. I to jest problem, którym się wszyscy musimy zająć. Inny problem to wykorzystanie potencjału ludzkiego.

◆ Chcemy, aby w jakości życia narodu nowy podział administracyjny — gmina, miasto, województwo — odegrały swoją pożytywną rolę. W pierwszych miesiącach władza nasza w nowym podziale administracyjnym dobrze zdała swój egzamin. Trzeba, by go nadal dobrze zdawała i są wszystkie warunki ku temu, aby tak właśnie było.

HOMO POLITICUS

W SPOŁECZEŃSTWIE rozpędzonym cywilizacyjnie, w widoczny sposób zbliżającym się do wysokiego standardu życia, a takim jest niewątpliwie społeczeństwo polskie, pojawiają się przeróżne aspiracje obyczajowe, kulturalne oraz intelektualne. Przejawy owych dążeń bywają czasami śmiesznawe, nuworyszowskie, ich dramaturgia traci amatorszczyzną i przypomina sytuację buduarową z udziałem małego pana i olbrzymiej pani. Przykładów konkretnych dostarcza w tym względzie moda dzisiejsza, będąca szczególną kompozycją wzorów z „Burdy" (wkładka w języku polskim!) i małomiasteczkowego poczucia piękna oraz elegancji. W tym przedziale można także — choć to jest rzecz dyskusyjna — ulokować rozpleniona już skłonność do posiadania biletów wizytowych, które, owszem, bywają przydatne w życiowej praktyce „ludzi konferencyjnych" i społecznie eksponowanych, lecz leżąc w portfelu pracownika punktu skupu pełnią funkcję wyłącznie symboliczne. Takie oporządzenie przydaje przecież malowniczości obrazkom z naszej codzienności.

Wyznacznikiem statusu bywalca salonów nowoczesności jest dziś także znajomość literatury iberoamerykańskiej. Przy imieninowych stołach, między „sto lat" a „niech żyje", przebijają się biesiadnicy Fuentesem, Borgesem i Cortazarem, wszyscy zgadzają się, że ten pierwszy jest bardziej autentyczny, a ten drugi bardziej europejski, ostatni natomiast niezwykły. Pewną popularność i znaczenie wyróżniające zdobyła także kaczka krakwa (Anas strepera) z „Tak zwanego zła" Konrada Lorenza, twórcy nowoczesnej etologii, głównie zaś laureata Nobla. Aby być „w nurcie" należy też chadzać do kina, najlepiej na filmy Wajdy i Antczaka oraz na „Dzień szakala".

Jak widać, rozpiętość naszych aspiracji jest spora. Jak widać, dążenia te obejmują często wartości niepodważalne, wzbogacające osobowość i wiedzę człowieka, sygnowane przez wybitne nierzadko autorytety artystyczne i intelektualne. Kiedy jednak przychodzi do refleksji nad codziennym bytowaniem, kiedy bilansujemy miesięczne wydatki na jedzenie, okrycie, ogrzewanie czy komunikowanie się samochodowe, to nasze myślące ego momentalnie podaje tyły. Z dorodnych osobników spozierających daleko, wysoko i szeroko, przeistaczamy się w karzełki poznawcze, które wiedzę o procesach ekonomicznych czerpią z kawiarni i elementarnej matematyki. Oczywiście, nikt nie jest na tyle naiwny, aby kwestionować korzyści płynące z potocznego poznania, z obserwacji własnej sakiewki i haków w sklepach mięsnych. Nikt poza tym nie ośmieli się chyba powiedzieć, że jest to widzenie z gruntu fałszywe. Zdrowy rozsądek ratował nas z niejednej opresji. Jeśli jednak kilogram kiełbasy serdelowej staje się miernikiem rozwoju gospodarczego kraju, oznacza to albo chaos „meblowy" w głowie zwolennika takiego wzorca, brak podstawowej edukacji ekonomicznej, albo po prostu złą wolę.

Właśnie teraz, kiedy — jak może nigdy w dotychczasowej historii kraju — realizacja dynamicznej strategii gospodarczej zależy od całego społeczeństwa, od jego mądrości, siły moralnej i stanu świadomości, właśnie teraz sprawa owej edukacji nabiera szczególnego znaczenia. Rzecz jasna, nie chodzi tutaj o uproszczoną i okazjonalnie wygodną dydaktykę ekonomiczną, lecz o takie upowszechnianie jej zasad, które z jednej strony prowadziłoby do myślenia o sprawach gospodarczych w sposób wykluczający konflikt między interesem indywidualnym a publicznym, z drugiej zaś — dawałoby wiedzę o mechanizmach procesów ekonomicznych. Jeśli nie doprowadzimy do tego, że aby zyskać budujące miano bywalca salonów nowoczesności trzeba wiedzieć co nieco o ekonomii, ponadniemy w anachronizm obyczajowy, a co ważniejsze — staniemy się prowincją umysłową Europy, co może zaboleć także praktycznie.

Pod względem wielkości dochodu narodowego na jednego mieszkańca Polska plasuje się dziś w grupie państw średnio zamożnych, co zawdzięcza przede wszystkim wysiłkowi pięciu lat ostatnich. Przekracza ten wskaźnik sumę 1200 dolarów rocznie; do tej samej grupy zaliczają się też takie kraje, jak Węgry, Włochy, Czechosłowacja i NRD mają dochód narodowy nieco wyższy — około 1500 dolarów — i można przypuszczać, że jest w tym pewien udział ogólnej kultury ekonomicznej społeczeństw żyjących za Odrą i Karpatami. Natomiast dynamika wzrostu produkcji przemysłowej wprowadziła Polskę do pierwszej dziesiątki najszybciej rozwijających się krajów świata. Wystarczy zresztą raz jeszcze zajrzeć do Wytycznych na VII Zjazd Partii, aby znaleźć konkretne potwierdzenie wielkości polskiego wysiłku gospodarczego. Pouczające rozwinięcie owego problemu zawiera również zbiorowa publikacja „Książki i Wiedzy" pt. „Edukacja ekonomiczna". Specjaliści różnych dyscyplin przedstawiają w tej książce, napisanej przystępnie, zasadnicze kwestie polskiej polityki długofalowego rozwoju społeczno-gospodarczego.

Ekonomia jest dziś wyjątkowo mocno zespolona z polityką. Kto jest silny gospodarczo, ten jest partnerem w grze politycznej. Ekonomia decyduje o dynamice rozwojowej nauki i techniki. Ekonomia współczesna, jako refleksja teoretyczna i system działań praktycznych, już dawno pogrzebała pojęcie autarkii, gospodarki samowystarczalnej, izolowanej od reszty świata. Ale ekonomia — pojmowana bardzo szeroko — może być oknem na świat tylko w czasie pokoju i zgody na współistnienie odmiennych struktur państwowych i ustrojowych. Można powiedzieć: tak się szczęśliwie złożyło, że w Europie (poza Irlandią płn.) panuje błogosławiony pokój. Tzw. szczęście, fuks, przypadek upodobały sobie raczej ruletę, wyścigi konne, piłkę nożną, niż politykę. Ten pokój europejski został wymodelowany przez państwa socjalistyczne, które doprowadziły do podpisania w Helsinkach końcowego dokumentu Konferencji Bezpieczeństwa i Współpracy w Europie. Nikt nie kwestionuje naszej zasługi, naszego wkładu pracy, taktu i kultury politycznej w to historyczne dzieło.

Startujemy w przyszłość — ogromne zadania — z pozycji ekonomicznie korzystnych. Sytuacja polityczna Europy sprzyja naszym ambicjom gospodarczym. Wszystko obiecuje sukces. Czy jednak jest to rzeczywiście „wszystko"?

Na inauguracji roku akademickiego w Uniwersytecie Warszawskim profesor Stefan Kieniewicz, określający siebie samego mianem „historyka starej daty", wygłosił wykład, który wprost zmusza do przewietrzenia niektórych ważnych, bo ciągle funkcjonujących w świadomości zbiorowej pojęć. *Pod względem gospodarczym* — zauważył Kieniewicz — *politycznym i militarnym wrastamy coraz ściślej w społeczność państw socjalistycznych. Wraz z całym tym obozem praktykujemy coraz śmielej i wszechstronniej różne aspekty współpracy z zachodnią Europą, Ameryką, Afryką i Azją. Wolno spodziewać się, że pokolenie, które będzie wchodziło w życie na progu XXI wieku, będzie miało znacznie silniejsze niż dzisiaj poczucie obywatelstwa Ziemi. Czy umocnienie owego poczucia nie będzie wymagało także uwzględnienia powszechnej świadomości historycznej?*

Jest to pytanie retoryczne, odpowiedź może być tylko jedna: twierdząca. Tymczasem, kontynuuje profesor, historia powszechna — jako dyscyplina naukowa i przedmiot szkolny — przedstawia się u nas mizernie, przytłacza ją jakby nadmierne (choć dziejowo uzasadnione) i jednostronne eksponowanie sprawy polskiej. *Czy to ujęcie — przepraszam za porównanie — nie przypomina sposobu, w jaki relacjonuje nasza prasa i telewizja o międzynarodowych zawodach lekkoatletycznych?* Owszem, wzbogaciliśmy historię wykładaną w szkołach o treści nowe, związane z powojenną sytuacją ustrojową Polski, z jej miejscem na mapie politycznej Europy. Ale *słabiej* — zdaniem profesora — *uczestniczy nasza wiedza historyczna w kształtowaniu wzorca Polaka — współobywatela wielkiej rodziny państw socjalistycznych, czy wręcz Polaka — obywatela świata?*

Wydaje się, że profesor Kieniewicz pierwszy otwarcie wyraził powszechniejsze przekonanie, poruszył problem niezmiernie ważny dla naszej świadomości narodowej, a tym samym dla naszej przyszłości cywilizacyjnej. Najbardziej przy tym znamienne, że świetny historyk („starej daty"?!) naszkicował jednocześnie drogę wyjścia z tej sytuacji — dotykając spraw ekonomicznych!

Będzie pozornym tylko paradoksem, jeśli powiem na zakończenie, że poprawa tego stanu rzeczy zależy w wielkiej mierze od nas samych. Mianowicie od tego, jak szybko będzie się rozwijał nasz kraj, od momentu, kiedy zaczniemy autentycznie nabierać szacunku dla siebie samych. Społeczeństwo, które wie o tym (wie, nie wmawia sobie), że pracuje owocnie, że dorównuje przeciętnej światowej, albo ją przekracza, nie musi zachłystywać się każdym sukcesem swej reprezentacji piłkarskiej, ani frustrować utraconym kolarskim medalem.

I.J.K.

P.S. Miejmy nadzieję że w czasie trwających właśnie dni książki „Człowiek — Świat — Polityka" uda nam się nabyć niejedną pozycję o takiej zawartości intelektualnej, o takiej perspektywie poznawczej, jaką przedstawił profesor Stefan Kieniewicz. Dobre tradycje i doświadczenia poprzednich imprez tego rodzaju skłaniają do optymizmu. Przy okazji informujemy, że w przyszłym roku na rynku księgarskim ukażą się m. in. takie, warte rekomendacji, publikacje, jak „Miejsce Polski na gospodarczej mapie świata" Stanisława Kuzińskiego (PWE), „Polska 1980" (zbiorowa, „Interpress"), „Zanim zaczną rządzić maszyny" Wiesława Górnickiego („Czytelnik"), „Kultura i osobowość" Elmara Sokołowa (tłumaczenie z j. ros., PIW), „Zarys dziejów religii" (zbiorowa, „Iskry").

Kamena str. 2

Mieczysław Ciesielski

Fot. J. Trembecki

DELEGAT

Tadeusz Jasiński

MIECZYSŁAW Ciesielski. Jeden z delegatów województwa lubelskiego na VII Zjazd PZPR. Zapewne wiele życiorysowych darzeń tego czterdziestodwuletniego nężczyzny odpowiada przeżyciom pozostałych delegatów. Ta sama historia kształtowała losy partyjnego aktywu. Oczywiście, truizmem będzie jeśli powiem, że każdy posiada inną osobowość, choćby te same właśnie wydarzenia ją współkształtowały.

Co kształtowało osobowość jednego z lubelskich delegatów? Zapytany o to Ciesielski odpowiada:

— Trudno mi z całą pewnością określić, kiedy i gdzie zacząłem się taki, jaki jestem.

A zaczęło się to w atmosferze rodziny robotniczej, w której dzieciom stawiało się i stawia wysokie wymagania, a wychowanie odbywa się także poprzez pracę. W czasach bezpośrednio powojennych ideałem było: musisz osiągnąć to, czego my w poprzednim ustroju nie byliśmy w stanie. To był nakaz ale i wewnętrzna potrzeba.

Teraz, po latach, coraz wyżej przychodzi cenić wychowawczy wpływ Związku Młodzieży Polskiej: ideowość, bezkompromisowość, życiową pasję służenia dobrą pracą umacniającemu się ustrojowi, bez oglądania się na korzyści osobiste.

Mówi Ciesielski:

— Są ludzie, którzy uważają, że niestety muszą pracować. Dla mnie praca jest celem. Jeśli mnie nie interesuje, wtedy przestaje być osobistą pasją. Muszę mieć właśnie wewnętrzne przekonanie o słuszności i celowości tego, co robię.

Jeśli więc słyszę „praca jest dla mnie celem", wiem z jakiej szkoły myślenia mój rozmówca wyniósł takie do swoich zadań podejście. W dzielnicy Bronowice mieszkają ludzie, którzy przed laty byli bywalcami Dzielnicowego Domu Kultury. Przez dziewięć lat Ciesielski nim kierował, równocześnie pracując w Wydziale Kultury MRN oraz Młodzieżowym Domu Kultury. To, co mówią, znajduje także odbicie w pamiątkowych księgach, wycinkach prasowych, licznych dyplomach dla tej placówki i jej kierownika. Dziewczęta i chłopcy z tamtego czasu, którzy pochodzą z chłopsko-robotniczych rodzin tej dzielnicy i sami już dawno założyli rodziny, skarżą się: — Nasze dzieci nie mają takiego miejsca, jak my kiedyś, które by je przyciągało, nęciło atrakcyjnością i trwałością działania, bo następcy Ciesielskiego zaprzepaścili jego dzieło. Dom Kultury niby ten sam, ale w niczym nie podobny...

Rówieśnicy delegata przypominają jego walkę o uzyskanie dla Młodzieżowego Domu Kultury kamienicy na Starym Mieście, mówią o kierowaniu tą placówką, o pomaturalnym Studium Oświaty i Kultury Dorosłych przy Uniwersytecie Warszawskim, o zaocznych studiach na Wydziale Pedagogiki UMCS.

Znany w Lublinie działacz kultury, były kierownik Zakładowego Domu Kolejarza Stanisław Zaleski, powiedział, obserwując jego pracę: — Wśród nas wielu Mieczysław ma iskrę do działania w dziedzinie kultury.

Sam Ciesielski rodowodu swojej postawy wobec zadań, których się podejmuje, szuka w sporych zespołach ludzkich, ale i w poszczególnych osobach. Ideowości działania nauczył się u dyrektora Liceum Ogólnokształcącego TPD w Lublinie przy Lipowej, Stanisława Zgrzywy, oraz w szkolnej organizacji zetempowskiej. Umiejętności organizacyjnych, stawiania sobie wysokich wymagań, wrażliwości na różne zagadnienia kultury i sztuki — w Teatrze Młodego Widza Wandy Kaniorowej.

Dopowiada ze smętkiem:

— Dziś, kiedy część tych ludzi może już mniej sił poświęcić sprawom, którymi żyła i pozyskiwała nas, młodszych, za mało przybywa nowych działaczy, charakteryzujących się podobną pasją. Wokół dzieją się rzeczy wielkie, choćby rozbudowa FSC oraz powstawanie Lubelskiego Zagłębia Węglowego. Powinna im towarzyszyć równie wielka pasja działaczy kultury i twórców, bo fakty te rodzą większe i nowe zadania. Tymczasem rozwój kultury wciąż jeszcze nie dorównuje dynamice innych dziedzin naszego życia, zarówno na wsi jak i w mieście. Musimy przeciwstawić się poglądowi, według którego najpierw trzeba osiągnąć postęp materialny, a potem dopiero kulturalny i moralny, bo na te ostatnie może być potem już za późno. Zresztą, nie byłoby to zgodne z Wytycznymi na zbliżający się Zjazd, w którym mam uczestniczyć. Nie tylko o bazę dla placówek kultury mi chodzi. Owszem, cieszyć musi perspektywa zbudowania w Lublinie zespołu teatralnego, budowa tu i ówdzie nowych pomieszczeń dla klubów, świetlic, bibliotek i domów kultury. Równocześnie jednak więcej uwagi poświęcić trzeba ludziom, którzy w te placówki mają wprowadzić bogate życie. Ileż to pięknych i dobrze wyposażonych obiektów marnuje się, ponieważ ich pracownicy posiadają kwalifikacje raczej formalne, nie poświadczają ich codziennym działaniem, nie mają po prostu wewnętrznej pasji w tej dziedzinie, nie mogą więc porywająco oddziaływać na młodzież. Przegrana sprawa? Nie, skoro ją dostrzegamy, możemy jej zapobiegać.

Bronowiccy rozmówcy wspominają jeszcze teraz, jako dorośli, pasję swego kierownika. Mówią, że niczego nie robił na chłodno i dlatego potrafił ich pozyskać. Np. nie od razu przyjęły się wystawy plastyczne, albo zbiorowe chodzenie do teatru i filharmonii, a przecież z czasem...

— Wszystkie te przedsięwzięcia — twierdzą — nasze wieczory spędzone w tamtych latach w Dzielnicowym Domu Kultury sprawiły, że jesteśmy lepiej przygotowani do samodzielnego, zawodowego i rodzinnego życia. Inaczej je sobie urządzamy, wiele z wpajanych nam nawyków kulturalnych i zainteresowań wtedy w nas rozbudzonych nadal kontynuujemy.

Niektórzy plastycy zawdzięczają pokazanie ich sztuki poza salonem wystawowym w Dzielnicowym i Młodzieżowym Domu Kultury oraz w pomieszczeniach KW PZPR właśnie Ciesielskiemu. Ileż to powodowało interesujących dyskusji, ile pożytecznych dla widzów i twórców sporów?

Tak więc praca, traktowana serio i żarliwie, kształtowała naszego delegata. Już młodzieńcze dokonania sprawiły, że przed dwudziestu jeden laty został przyjęty do partii, a wyniki całego dorosłego życia rekomendują go jako delegata na VII Zjazd oraz na zastępcę członka wojewódzkiej instancji.

Dzieci mogły w ostatnim czasie obejrzeć wiele interesujących przedstawień w lubelskim Teatrze Lalki i Aktora, choćby „Akademię Pana Kleksa" Brzechwy oraz „Dixi" Osieckiej. Kierownikiem artystycznym tej placówki jest utalentowany i wrażliwy reżyser Włodzimierz Felenczak, natomiast dyrektorem całości — Mieczysław Ciesielski. Od prawie dwu lat. Jego dziełem jest przyciągnięcie do teatru lubelskich i okolicznych pedagogów, pozyskanie dla tej sceny coraz większej dziecięcej publiczności. Kiedy wchodzi się w zaułek ulicy Klonowicza na Starym Mieście, nawet przygodnego przechodnia atakuje elementami plastycznymi pobliska scena: afisze, drogowskazy, przemyślne malunki. To wszystko zaprasza, a równocześnie ożywia i upiększa ten szary przedtem zakątek. Lecz nie tylko o upiększenie kamienic tu chodzi. Jak dawniej, Ciesielskiego interesuje przede wszystkim człowiek, piękno lub brzydota jego wnętrza. Doświadczenia pracy z dziećmi i młodzieżą zdobyte w poprzednich placówkach, którymi kierował, teraz mogą owocować z nową siłą, choć inny jest sposób ich spożytkowania.

— Tak jak na Bronowicach i gdzie indziej, trzeba mi było przymierzyć się do potrzeb odbiorcy. Jest nim widz dziecięcy, ale i nauczyciele, wychowawcy. Trzeba było kontynuować wszystko dobre, co kierowana przeze mnie placówka posiadała już w dorobku, ale też zapytać widzów, i siebie, co jeszcze można do tego dodać? Mamy tutaj do czynienia z twórczością dla dzieci. Nasza placówka przekazuje najmłodszym już nie tylko wartości estetyczne, ale moralne, ideowe. Moim zadaniem jest stworzenie pięćdziesięcioosobowemu zespołowi odpowiednich warunków, aby te cele poprzez sztukę mogli osiągnąć. Mieć udział w tym, aby te wartości docierały do dzieci i stały się pomocą dla pedagogów — jest zadaniem fascynującym.

— Pokonywanie trudności — ciągnie Ciesielski i samą pracę traktuję jako kolejną przygodę. Istnieje w niej element pewnej twórczości, jak w każdej pracy i to mnie pasjonuje od nowa. Tacy artyści, jak Włodzimierz Felenczak oraz aktorzy naszego teatru tworzą coraz bardziej interesujący zespół, a zatem moją rolę pojmuje w ten sposób, aby zapewnić im takie warunki, w których swoją sztukę mogliby możliwie najpełniej rozwijać, co w różnym stopniu mi się udaje. Chcemy mieć teatr oryginalny i nowoczesny, poruszający najtajniejsze uczucia dziecięcych serc i osobowości. Temu muszą sprostać niekonwencjonalne formy upowszechniania. Np. dowożenie małych widzów, przy godnym pochwały zaangażowaniu Miejskiego Przedsiębiorstwa Komunikacyjnego. Akcja „Jedziemy do teatru", oczywiście przy pomocy i zrozumieniu istoty sprawy przez nauczycieli, obejmuje odległe nieraz dzielnice miasta oraz pobliskie wioski. Mimo że sam nie jestem artystą, pragnę mieć coś do powiedzenia poprzez własne i kolegów inicjatywy. Moim celem życiowym nie jest uzyskiwanie prywatnej satysfakcji, choć, jak każdemu, uczucie to nie może mi być obce. Chodzi o to, aby praca naszego zespołu, w tym i moja, dawała widzom radość i pożytek. Najlepsza to nagroda.

MIĘDZY ZJAZDAMI

Największą inwestycją gospodarczą w historii Lubelszczyzny jest trwająca już od wiosny budowa Lubelskiego Zagłębia Węglowego. Zdaniem geologów ziemia nasza kryje około 50 miliardów ton tego poszukiwanego dziś na całym świecie surowca dla energetyki i chemii. Normalna budowa kopalni węgla trwa 5—7 lat. Już dziś wiadomo, że pierwsze tony węgla lubelskiego pojadą do odbiorców pod koniec przyszłego roku — niecałe dwa lata po rozpoczęciu wstępnych prac. W tych dniach właśnie po zamrożeniu ziemi zaczęto w Bogdance drążyć pierwszy szyb wydobywczy, nad który przesunięto wielotonową wieżę wiertniczą, widoczną na zdjęciu.

Z okazji pierwszej na Lubelszczyźnie węglowej Barbórki wszystkim naszym górnikom i budowniczym LZW najlepsze życzenia!

Fot. J. Mirosław

Mgr Grażyna Siedlaczek

Mgr Henryk Borowiec

Dr Romuald Poliński

Doc. dr hab. Wacław Grzybowski

Red. Jerzy Dostatni

Jakość pracy -

Dokończenie ze str. 1

dzieje. Szczególnie podoba mi się to, że zaczęto dostrzegać ludzi młodych, którzy wprawdzie jeszcze nie mają praktyki, ale mają nowe pomysły i projekty warte przekonsultowania, a często zastosowania. Poprzednio tych ludzi nie dopuszczało się do głosu. Ale wciąż nie jest dobrze z kształceniem ekonomistów, jest za dużo teorii, a za mało praktyki.

W. G.: — Z tym kształceniem rzeczywiście nie jest dobrze. Nadal wymagamy od studentów pewnej sumy wiadomości podręcznikowych, zapominając że trzeba kształcić cechy człowieka. Każdy człowiek jest inny, ma inne cechy, a my uparcie kształcimy według jednego wzorca przeciętnego Polaka. Swoją drogą nasz absolwent umie dużo, tylko że jest to suma wiedzy opisowej, a nie wykształcona zdolność i umiejętność permanentnego korzystania z wiedzy. Może kształcimy za dobrze jak na wymogi praktyki gospodarczej, gdy równocześnie kadry ekonomiczne w przedsiębiorstwach nie są należycie wykorzystywane.

G. S.: — Bo wciąż jeszcze nie bierzemy pod uwagę realnych potrzeb gospodarki, a kształcimy dlatego, że w ogóle trzeba kształcić. Chodzi nam o sumę wiadomości, a nie o to, czy one są potrzebne w życiu; a nawet nie bardzo uczymy, jak posiadane wiadomości spożytkować w praktyce.

R. P.: — Niestety, nie istnieje system, który by maksymalnie wykorzystywał kwalifikacje ludzkie. U nas dzieje się tak chyba dlatego, że wciąż jeszcze technika dominuje nad ekonomią, że wciąż jeszcze istnieje zbyt duży zakres zarządzania administracyjnego, dyrektywnego. Chodzi także o to, aby plan centralny nie był, jak dawniej, instrumentem egzekwowania wyników przedsiębiorstwa, ale by spełniał funkcje strategiczno-koncepcyjne, by określał główne kierunki rozwoju w okresach wieloletnich. To wymaga dalszego prawidłowego kształtowania relacji między planowaniem rocznym a wieloletnim; chodzi mi o przesunięcie akcentu na planowanie wieloletnie.

Henryk Borowiec: — Ogólnie zgadzam się z poprzednimi wypowiedziami. Myślę, że punktem wyjścia było przekonanie, iż stać nas na coś, czego poprzednie kierownictwo nie doceniało. Zmiany musiały na coś stawiać. Jeżeli zawierzyliśmy ludziom, to musimy zawierzyć przede wszystkim ludziom o wyższych kwalifikacjach, a to są przede wszystkim ludzie młodzi. Czy system ich szkolenia jest dobry? Chyba trzeba oddzielić sprawy ogólnej teorii, którą tak czy inaczej trzeba zdobyć, od praktycznej strony życia gospodarczego. Stykałem się ostatnio z młodzieżą studencką. Ona chce jak najwięcej chłonąć, zapamiętać. A w uczelniach rzeczywiście nie stawia się na indywidualności, ale ogólnie na wydanie jakiejś liczby dyplomów. Jednak faktem jest i to, że przy tak dużej liczbie studentów przypadających na jednego pracownika naukowego stawianie na indywidualność jest rzeczą co najmniej kłopotliwą. Na kierunkach ekonomicznych ma się do czynienia z grupą 120 studentów albo i większą. I nawet jeżeli wyłowi się kilku szczególnie zdolnych i chętnych, to oni prawdopodobnie i tak nie będą mieli możliwości lepszego startu. Bo ten start wciąż jest sprawą studenta, a nie uczelni.

R. P.: — Wydaje mi się, że po dużym ruchu kadrowym przed trzema, dwoma laty, ostatnio jakby się tu coś przyhamowało. To można odnieść zarówno do gospodarki jak i szkolnictwa wyższego. Mamy ogromny brak samodzielnych pracowników nauki, a jednocześnie jakby, stagnację w awansowaniu adiunktów o poważnym dorobku naukowym, ludzi, którzy w niektórych innych krajach otrzymaliby natychmiast tytuły profesora. To w konsekwencji pogłębia różnice między potrzebami a możliwościami dostarczenia fachowców całemu naszemu życiu, bo nie tylko o ekonomię tu chodzi.

J. D.: — Wytyczne na VII Zjazd stwierdzają, że plan przyszłej pięciolatki jest otwarty, że jest kontynuacją obecnego, więc...

W. G.: — Myślę, że w dalszym ciągu potrzebna jest odwaga w stawianiu problemów, bo to już się nam opłaciło. Tyle że formułując ambitne zadania powinniśmy się liczyć z tym, iż nie wszystko musi się nam udać. Gdzie drwa rąbią, tam wióry lecą. Jeżeli się podejmuje nową strategię rozwoju, to nie trzeba być zażenowanym, że coś tam się nie udaje, że z czegoś trzeba czasem zrezygnować — zwłaszcza gdy taką strategię stosuje się po raz pierwszy. Mieliśmy np. pewne kłopoty w polityce inwestycyjnej. Słuszne było przesunięcie akcentu z inwestycji grupy A na grupę B. Ale nie wyzbyliśmy się jeszcze pewnych starych nawyków: za szerokiego frontu, zbyt długich cykli. Jest poprawa, ale jeszcze zbyt mała. Trzeba też brać pod uwagę, że jeżeli już jakieś potrzeby wydają się zaspokojone, to nagle wyłaniają się jeszcze wyższe lub całkiem inne. Wspomniano tu o tzw. błędnych decyzjach lokalizacyjnych. Co to w gruncie rzeczy znaczy „błędna decyzja"? Podejmujący decyzję nie może wszystkiego przewidzieć w stu procentach, a także tego, co zdarzy się za trzy, pięć czy dziesięć lat. Tu także musi istnieć margines ryzyka. A my często każdemu, tylko nie sobie, prawa do takiego marginesu odmawiamy.

H. B.: — Tak, te marginesy wywołują pewną nerwowość. W konsekwencji próbujemy krytykować rozwiązania, które albo nie sprawdziły się całkowicie, albo wykazują jeszcze jakieś mankamenty. Kilka słów o tzw. błędnych decyzjach. Województwo lubelskie w starych granicach ma niewątpliwie rezerwy ludzkie, ale uprzemysłowienie rolnictwa, które w ponad 90 proc. należy do rolników indywidualnych, nie może być przeprowadzone tak szybko, aby już wyzwolić tkwiące tam rezerwy ludzkie. Prognozy demograficzne wykazywały duże nadwyżki ludzkie w okręgu chełmskim, ale przemysł obuwniczy nie okazał się zbyt atrakcyjny, aby je wyzwolić.

R. P.: — Czy obecnie bank w stosunku do kontrolowanych przedsiębiorstw pełni funkcje raczej ekonomiczne, czy administracyjne?

H. B.: — Najpierw o planowaniu, o którym pan mówił. Moim zdaniem właściwie realizujemy ogólną koncepcję planowania wieloletniego i jego nadrzędności. Tylko w praktyce realizacyjnej już nie planifikator centralny, ale realizator centralny decyduje o tym, że plan roczny staje się decydujący w działaniu przedsiębiorstw. I w takim ujęciu bank, niestety, pełni więcej funkcji administracyjno-nadzorczych niż ekonomicznych. Zbyt dużo jeszcze poświęcamy uwagi szczegółowym informacjom miesięcznym, nie mając czasu na analizę, jakim kosztem się to realizuje.

R. P.: — Z rozszerzania się funkcji administracyjnych banku można wnioskować, że zjednoczenia, czasem resorty, w nieodpowiedni jeszcze sposób kierują przedsiębiorstwami. Wiele już tu zmieniliśmy, ale wciąż pozostała nutka niewiary wobec przedsiębiorstw. Co więcej, niektórzy zadają sobie pytanie, czy w niezbyt sprzyjających warunkach otoczenia, kłopotów inflacyjnych i surowcowych na Zachodzie, pierwotnie ustalone zakresy samodzielności mogą się utrzymać.

W. G.: — Kilku dyrektorom dużych przedsiębiorstw postawiłem niedawno pytanie, jak oni oceniają przyznaną im samodzielność. Wszyscy powiedzieli, że jest wystarczająca. Uprawnienia ich rzeczywiście poszerzono, ale wielu dyrektorów nie chce większej samodzielności, bo z tym łączy się jeszcze większa odpowiedzialność. Zresztą bywa i tak, że nie posiada się odpowiednich środków, aby za tę odpowiedzialność być... odpowiedzialnym.

R. P.: — Istnieje przecież rozdzielnictwo środków, nie zawsze adekwatne do rozdzielanych uprawnień.

W. G.: — Z drugiej strony wielu dyrektorów przyzwyczaiło się do poleceń, konsultacji ze zwierzchnikami, zebrań i narad. Gdyby im dano pełną odpowiedzialność, nie taką nieograniczoną w sensie kapitalistycznym, ale pozwalającą na w pełni dynamiczną działalność, to część z nich musiałaby odejść.

J. D.: — Dochodzimy ponownie do zagadnień innowacyjnych. Co panowie na to?

R. P.: — Kilku dyrektorów odpowiedziało mi niedawno, że nie widzą nic takiego w pracy służb ekonomicznych, co należałoby zmienić. Natomiast w prasie naukowej i ogólnej wciąż pojawiają się głosy, że trzeba znowelizować Uchwałę Rady Ministrów nr 224 z 1964 roku w sprawie postępu ekonomicznego w gospodarce uspołecznionej i organizacji służb ekonomicznych. Czy więc jest tak, jak

MIĘDZY ZJAZDAMI

Chełm słynął dotychczas z produkcji cementu. Przed dwoma laty wybudowano tam nowoczesną, wielką fabrykę butów. Znaczną część załogi stanowią kobiety

Fot. J. Wielopolski

widzą szefowie, czy też mają oni końskie okulary i nie widzą problemów ekonomicznych, które powstają w ich przedsiębiorstwach? A przecież jest oczywiste, że te służby trzeba przystosować do warunków aktualnych, innych niż przed jedenastoma laty. Przecież efektywność gospodarowania jest u nas wciąż jeszcze zbyt niska, zwłaszcza na Lubelszczyźnie.

W. G.: — Jakie są przyczyny tego, że służby ekonomiczne działają nie tak jak trzeba? Starsi ekonomiści działają w rutynie, są przyzwyczajeni, że zmiany przychodzą z góry, nie mają nawyku wywierania nacisku na ową górę. Młodzi zaś, zaczynając pracę, wykazują zbyt dużą zdolność adaptacyjną do istniejących już warunków, a za małą zdolność innowacyjną. Ja zaś uważam, że zmiany pojawiają się wtedy, gdy ich potrzeba jest silnie odczuwana „na dole".

H. B.: — Wynika to z faktu, że dyrektorzy traktują każdy system ekonomiczno-finansowy jako system ograniczający, a nie jako system — szczególnie w nowych warunkach — mobilizujący. Zwłaszcza że najczęściej wymóg ekonomiczny przekształca się w przepis administracyjny. Jeżeli więc ekonomista jest przedstawicielem systemu ograniczającego, to jego rad czy zaleceń nie wysłuchuje się, natomiast stawia się pytanie: jeżeli postąpię tak czy tak, to czy to jakoś przejdzie, czy nie? To jest sprawa podejścia kierownictw przedsiębiorstw, które

jakość życia

jeszcze nie widzą, że nowy system daje im dużo swobody, umożliwia wybór alternatywy. W planowaniu wieloletnim światły dyrektor mógłby sobie przecież powiedzieć, że np. w tym miesiącu czy kwartale nie wykonam planu, bo przygotowuję nową, lepszą produkcję i potem dam nawet nadwyżkę ilościową i jakościową. Jednak zbyt często jeszcze decydują elementy dnia czy miesiąca, a nie przyszłości. Służby ekonomiczne zaś stoją trochę na uboczu, pełniąc funkcje służebne a nie twórcze.

G. S.: — Chciałbym bronić młodych ludzi. Proszę wziąć pod uwagę, że młody człowiek przychodzący do pracy ma taki czy inny zasób wiadomości, ale w ogóle nie jest obeznany z praktyką. I jeżeli ma na jakąś sprawę nowy, oryginalny pogląd, boi się go ujawnić, bo może naruszyć istniejące w przedsiębiorstwie układy, przyjęte normy, a to nie jest chętnie widziane. Zresztą sam nie jest zupełnie pewny, jak się jego propozycja, oparta tylko na wiadomościach teoretycznych, sprawdzi w praktyce.

J. D.: — Coraz więcej ludzi uważa, że cudownym lekarstwem na różne niedomogi typu ekonomicznego jest zastosowanie komputerów. Produkujemy ich coraz więcej w kraju, ale mimo szybkiego wzrostu produkcji zapotrzebowanie rośnie. Kupuje się je więc za dewizy, także wiele maszyn liczących. Czy to rzeczywiście cudowne lekarstwo?

G. S.: — Ja osobiście nie wiem, dlaczego w erze komputeryzacji na studiach nie ma nic, albo prawie nic o komputerach? Dlaczego ekonomista, który studiuje cztery lata i w przyszłości ma kierować jakimiś komórkami w przedsiębiorstwie, nie wie nic nie tylko o komputerach, ale także o maszynach liczących i innych, mających ułatwić i przyspieszyć jego pracę? Inne niebezpieczeństwo tkwi w tym, iż często uważa się, że maszyny załatwią wszystko. Ponadto wielu ludzi nie może zrozumieć — chodzi tu zwłaszcza o działy księgowości — że już wprowadzenie średniej mechanizacji, nie mówiąc o dużej wymaga zmian organizacyjnych w pracy, że nie można postawić maszyny nie zmieniając samych dokumentów, ich biegu itd. Są u nas przedsiębiorstwa, które mają drogie maszyny, lecz nie są one wykorzystane, albowiem tych przedsiębiorstw nie przygotowano organizacyjnie.

R. P.: — Bo ta reorganizacja, raczej nowa organizacja, naruszyłaby „społeczną" równowagę przedsiębiorstwa.

H. B: — Ale jest także inaczej. Jedno z przedsiębiorstw zdecydowało się zakupić i bardzo szybko wykorzystać maszyny, gdyż doszło do przekonania, że dzięki szybkiemu rozliczaniu się z kontrahentami uniknie obciążeń z tytułu zaciąganych w naszym banku kredytów.

J. D.: — Chyba w każdym średnim przedsiębiorstwie, nie mówiąc o dużych, istnieje ośrodek informacji techniczno-ekonomicznej. Jak się jednak orientuję, z wykorzystaniem tych ośrodków jest gorzej.

G. S.: — Wiele przedsiębiorstw za punkt honoru uważa uruchomienie u siebie takiego ośrodka. Kupuje się takie czy inne maszyny i urządzenia, sadza ludzi, wszystko w jednym pokoju, i albo żąda tysięcy niepotrzebnych informacji, albo nie żąda niczego. Mnie się wydaje, że powinniśmy zaczynać od ośrodków usługowych dla kilku przedsiębiorstw — wykluczam takie, jak FSC czy WSK. Zapomina się też często, że maszyna to tylko maszyna, że musi być człowiek, który musi zaprogramować pracę tej maszyny i prawidłowo odczytać jej wyniki.

R. P.: — Kiedyś mieliśmy w ekonomii politycznej fetyszyzację metod ekonometrycznych, teraz mamy fetyszyzację komputerów.

W. G.: — Nie jestem specjalistą od informatyki, ale wydaje mi się, że u nas gromadzi się za dużo informacji i to nie wiadomo po co, chyba dla tradycji czy na wszelki wypadek. Maszynie to nie zaszkodzi, a ludziom nie pomoże.

H. B.: — Duża mechanizacja jest z powodzeniem wykorzystywana dla kontrolowania procesów technologicznych, natomiast w ekonomii maszyny wciąż służą tylko do ułatwienia zebrania lub przetworzenia pewnych informacji, których wybór jest często przypadkowy, zrobiony na siłę albo wynika z nacisku okoliczności. I stosuje się je do tzw. prac masowych: kartotek materiałowych, list płacy itp. Są to prace powtarzalne, ponadto ich wartość jest często już tylko historyczna, bo gdy się dowiem o wyniku, sytuacja może być diametralnie różna. Zresztą ekonomiści praktycznie są zdani na tyle niewiadomych w swoim działaniu, że najczęściej rezygnują z pomocy komputera. Rzeczywiście często rozdrabniamy niepotrzebnie informacje na podmioty gospodarcze: od malutkiej jednostki usługowej do wielkiego kombinatu, przy ocenach traktując je na równi. Więc kto może dorwać się do wielkiej mechanizacji, robi to, aby na każde zawołanie móc dać odpowiedź. Ale to nie jest droga do usprawnienia pracy przedsiębiorstwa.

R.P.: — Chyba więc dochodzimy do wniosku, że powinniśmy radykalnie zmienić charakter analiz ekonomicznych. Rzecz w tym, aby nie miały one charakteru retrospektywnego, lecz prospektywny, to znaczy by odpowiadały na pytania: jak jest, jak może być, jak powinno być? I dopiero takie analizy powinny być podstawą podejmowania decyzji przez kierownictwo przedsiębiorstwa, kombinatu czy zjednoczenia. W przeciwnym razie wciąż będzie działała rutyna czy intuicja, a przecież w miarę komplikowania się różnych spraw, są to narzędzia coraz bardziej nie wystarczające.

J.D.: — Jednak jeżeli chcę coś poprawić, muszę wiedzieć „co i dlaczego", więc retrospekcja jest konieczna.

R.P.: — Nie wykluczam jej, chodzi mi o przesunięcie akcentu. Chociaż tych analiz w przeszłości prawie nikt nie czytał. Zresztą czy poza promotorem i recenzentami ktoś czyta prace magisterskie?

J.D.: — Omówiliśmy szereg istotnych dla naszej gospodarki zagadnień. Jak widać, mamy jeszcze przed sobą wiele trudnych spraw do rozwiązania. Ale to dobrze, bo — jak na początku słusznie zauważył pan docent Grzybowski — Polacy lubią sprawy trudne i ludzi odważnych. Chciałem jeszcze poddać pod dyskusję realny kontakt nauki z gospodarką, ale czas już kończyć.

W.G.: — Trochę ponarzekaliśmy, głównie na elementy subiektywne. Ale budujące jest przede wszystkim to, że — jak wynika z Wytycznych na VII Zjazd PZPR oraz licznych wypowiedzi kierownictwa naszego państwa — zamierzamy utrzymać i rozwijać dotychczasową strategię rozwoju społeczno-gospodarczego kraju. Jej szczególne przyspieszenie notowaliśmy w roku 1973. Każda strategia ma swoje okresy przyspieszenia i wolniejszego tempa. Czasem np. trzeba zastosować wolniejsze tempo, aby zachować pełną równowagę rynkową. Jest cechą nowoczesnego społeczeństwa, że potrzeby rosną szybciej niż możliwości ich zaspokojenia, nawet gdyby te ostatnie powiększały się bardzo szybko. I to bardzo dobrze. Ale z tego wynika, że i następne pięciolecie będzie miało okresy wolniejszego tempa i przyspieszenia. Wskaźniki w Wytycznych są ambitne, ale istnieją duże szanse, że na II Krajowej Konferencji Partyjnej zostaną one jeszcze podniesione. Wciąż jednak musimy pamiętać, że wzrost płac realnych musi być równoważony produkcją rynkową i to dobrej jakości. Przecież dopiero rozpoczęliśmy pewną praktykę społeczno-gospodarczą, która będzie trwała nie tylko podczas następnej pięciolatki, ale i po roku 1980 i po 1985 także. W gospodarce pięć lat to okres bardzo krótki, a w dłuższych okresach zawsze będzie następowała jakaś zmiana tempa. Osiągnięcia ostatnich pięciu lat są niewątpliwe, pomnażanie ich nie podlega dyskusji, ale stała regulacja rozwoju jest konieczna. Wedle stawu grobla — nasze społeczeństwo jeszcze jakiś czas będzie musiało godzić się z tym, że trzeba dawkować zaspokajanie pewnych potrzeb, na co w pewnym stopniu wpływa także ogólnoświatowa sytuacja gospodarcza, od której nie możemy się izolować. Ostatecznie jednak zaspokojenie potrzeb zależy od tego, jak będzie pracowało nasze społeczeństwo, jak szybko będziemy tworzyć wysoką kulturę produkcyjną, wysokie poczucie dyscypliny, wysokie rozumienie nie tylko własnych, osobistych, ale i ogólnospołecznych potrzeb.

H.B.: — Chodzi także o to, aby dobrze płacić tylko za dobrą robotę, tak np. było w Kozienicach, jest na budowie huty „Katowice". A tymczasem są ludzie, którzy dostają dobrą płacę za nic, albo prawie za nic — i jeszcze domagają się więcej. Wreszcie: w praktyce często mówimy o interesie przedsiębiorstwa. Tymczasem musimy coraz bardziej kłaść nacisk na interes ogólnospołeczny. W istocie nie ma tu sprzeczności, chodzi tylko o zrozumienie, że interes przedsiębiorstwa jest z reguły interesem na dziś, interes ogólnospołeczny zaś interesem na jutro.

WIERSZE NIECO STAROŚWIECKIE

Małgorzata Kałuża

PORY ROKU

Tańczyłam, tańczyłam,
we włosy wpięłam niebieską różę,
z przegubów rąk strząsnęłam bransoletki
wstydu.
Całowałam gałązkę bzu,
zlizywałam krople rosy,
umawiałam się ze szczęściem w ogrodzie,
rysowałam serce na piasku,
a później całował mnie wiatr.
Patrz — żyją we mnie kolorowe motyle,
one pozwalają mi na wiosnę
tańczyć i żyć.
Odszedłeś
nic nie widząc.

• • •

Biegłam do ciebie z bukietem świtu,
na twarzy miałam woalkę lata.
Moje włosy pachniały miętą.
Biegłam do ciebie przez łany zboża
skąpane w złocie słońca.
Patrz — nasze usta poznają miłość.
Patrz — trzymamy się mocno za ręce.
Patrz — zerwałam czerwony mak
spalony pocałunkiem słońca.
Odszedłeś
nic nie widząc.

• • •

Niebo w zaspane gałęzie jodeł
sypie puchowe gwiazdy.
W sadzie chochoł kołysze do snu róże.
Wiatr bije śniegiem w szyby,
cienie tańczą na suficie.
Patrz — po stole toczy się kolorowa kula.
Patrz — mam na policzku sól łez.
Patrz — trzymam w dłoni połatane
wspomnienie miłości.
Odszedłeś
nic nie widząc.

Krzysztof Brozi

* * *

Wielkie mi się marzą znoje,
Rewolucja — że tak powiem —
Ale czasy już nie moje
I nie to już moje zdrowie,
Więc zasiadam przed bufetem
Metafizyk codzienności,
Grzeję wnętrze spirytusem,
Cieszą się zdrewniałe kości.

Gnojno mi na zawołanie,
Chwiejno, choć bezwietrzna pora
I tak myślę co się stanie
od południa do wieczora.

Konia dajcie i szablisko,
W dłonie butlę śliwowicy,
Butlę sporą ponad miarę,
Cnej gorzałki pełne czary,
Czaru pełne też dziewoje,
Wszystko to w marzeniach moje.

Szabla dźwięczy noc się chmurzy,
Drzewa oczekują burzy,
Burzą jam — krzaczastobrewy,
Mnie śpiewają harde dziewy.
Komu trzeba więcej świata
Niech szablisko przysposobi,
Lecz rdza na nim, nie te lata,
Chociaż surmy jeszcze grają.

Znad burzanów, sponad szumów
Wiatr przynosi woń ogniska,
Czekam tu, choć nie mam rumu,
W szklankach się nie złoci pliska,
A bez lodu czysta szkli się
Moim okiem na dnie szklanki,
W torbie niosę dziś do domu
Trochę kiszki i rąbanki.

BIAŁA PODLASKA

Do której ligi?

Maciej Podgórski

NOWE województwa stały się modne w prasie centralnej, w ogóle w centralnych publikatorach. Redaktorzy poczęli biegać stadem i zziajani, latać bliżej ziemi niczym jaskółki przed deszczem. Nie ominęło to Białej Podlaskiej. Wtargnęło kilku z magnetofonami do Urzędu Wojewódzkiego, narychtowali „sitka":

— Towarzyszu wojewodo, tu zwracamy się do wojewody białopodlaskiego, towarzysza Pieli...

— Chwileczkę, o co idzie, panowie! Jestem wicewojewodą b i a l s k o p o d l a s k i m, nazywam się Jerzy Cywoniuk.

— Bielskopodlaskim się mówi?

— Bialskopodlaskim.

Każdy dziennikarz pyta, co się zmieniło i co się zmieniło? A co niby miało się zmienić w ciągu paru miesięcy! Przybywa miastu ze czterdzieści instytucji i urzędów szczebla wojewódzkiego, przybywa sporo kadry z zewnątrz. Gdzieś to wszystko trzeba pomieścić i zdarzały się początkowo sytuacje przypominające „okres PKWN-owski". Zakwaterowano tedy trzech wicewojewodów wspólnie, w dwu pokoikach z kuchnią. Tak się mieszkało. Jerzy Cywoniuk opowiada, jak zastał swój gabinet służbowy, odrestaurowany w okropny szlaczek i wyposażony w stareńką szafę, rozchybotane biurko, psujący się telefon. Tak się urzędowało.

Pionierski romantyzm na szczeblu wojewódzkim, z wolna już przechodzący do wspominków z łezką, zamieniany na lokale dla nowych instytucji i urzędów, mieszkania dla kadry — żeby województwo mogło ruszyć. W przyszłym roku rozpocznie się budowa obiektu, który pomieści Urząd Wojewódzki i Urząd Miejski w Białej Podlaskiej. Ma to być gmach nowoczesny i solidny, unaoczniający obywatelowi trwałość i pewność nowych perspektyw wojewódzkich. Bardzo ważna sprawa.

W trzydziestotysięcznym mieście na mieszkania spółdzielcze oczekują obecnie 1622 rodziny. Planuje się wybudowanie do 1980 roku 1838 mieszkań spółdzielczych, i jeśli to nawet nie jest zamierzenie imponujące, trzeba pamiętać, iż w budownictwie mieszkaniowym cały kraj ciągle jeszcze boryka się z przerostem potrzeb nad możliwościami, zaś gdyby nie status miasta wojewódzkiego, Białej Podlaskiej nigdy nie czekałyby nawet takie możliwości inwestycyjne, jakie się obecnie rysują. Nakłady na roboty budowlano-montażowe w latach 1976—1980 osiągną wartość przeszło 2,5 miliarda złotych, zatem około 300 procent więcej aniżeli w mijającej pięciolatce. Bo jeśli w ciągu tych kilku miesięcy cokolwiek zmieniło się w mieście — to przede wszystkim otworzyły się lepsze p e r s p e k t y w y. W tej chwili nic innego nie można powiedzieć, ale to jest i tak bardzo dużo, choćby ktoś popiskiwał, że mieszka się w mieszkaniach, a nie w perspektywach.

Parterowo-jednopiętrowe centrum Białej, skupione w okolicach placu Wolności, zwanego przez miejscowych „Kieratem" czyni wrażenia raczej mizerne i smutnawe podczas tych paru mglistych dni listopadowych, kiedy już zima miauczy natrętnie jak kot za drzwiami sionki, a ja tutaj jestem, mieszkam, konsumuję i parkuję samochód.

Zainstalowałem się w hotelu miejskim, który nie jest hotelem, tylko drewnianym baraczkiem na 51 osób. Są w nim piece kaflowe, a nie na przykład żelazne z rurami wystawionymi przez oberlufty. Są elektryczne bojlerki z ciepłą wodą, a nie na przykład konwie z zimną. Ponadto nie widać już żadnych możliwości przed tym obiektem, co nie przeszkadza, że w książce telefonicznej figuruje on aż dwa razy: jako Hotel Miejski oraz Hotele Państwowe Przedsiębiorstwo Lublin. Jeśli nie liczyć hotelu robotniczego i placówek „zamkniętych", to całe województwo wraz z byłymi miastami powiatowymi, Radzyniem i Parczewem, posiada raptem 200 miejsc noclegowych, i to jest zwyczajna tragedia. Międzynarodowe towarzystwo, które się spotyka na aukcjach końskich w Janowie, jeździ spać do Warszawy.

Zostawiłem samochód na parkingu strzeżonym, który nie jest parkingiem strzeżonym, tylko nieogrodzonym i nie utwardzonym placykiem dogladanym przez średnio-piśmiennego człowieka z budki. Doba kosztuje 40 złotych. Obiekt w książce telefonicznej nie występuje ani razu, może to i lepiej.

Na każdej mapie samochodowej gołym okiem widać, że przez Białą wiedzie droga międzynarodowa E-8, czyli Transpolonia, a przejście graniczne znajduje się w Terespolu. Szlak zatem handlowy i turystyczny. W roku 1980 tędy będzie szedł wielki ruch do Moskwy na olimpiadę, niezależnie nawet, czy w pobliżu pobiegnie autostrada, jak się tego spodziewają miejscowi. W kontekście tych faktów Biała Podlaska ze swoją bazą hotelową i zapleczem usług motoryzacyjnych może w kącie skrobać pietruszkę, skazana z góry na przysłowia o laskach, piaskach i karaskach.

Zamieszkałem i zaparkowałem, udaję się więc do Urzędu Wojewódzkiego, który na razie mieści się w niedawno wyremontowanych budynkach, pozostałych po starym pałacu Radziwiłłów. Tutaj słyszę, że turystyczne loty województwa nie takie znowuż niskie. W połowie drogi między Białą a Terespolem, w Zalesiu, budują zajazd na 40 miejsc noclegowych i 100 miejsc konsumpcyjnych; że przy tej samej trasie, w Kobylanach, carskie jeszcze bunkry przysposabiają dla potrzeb gastronomicznych, a parking już prawie istnieje; że wreszcie parę kilometrów od Białej, też przy drodze E-8 powstanie skansen budownictwa wiejskiego, gdzie nie tylko ekspozycje, ale i miejsca noclegowe się znajdą, skansen więc „żywy", a sprawa pod względem finansowym jakby uzgodniona z Ministerstwem Kultury i Sztuki, które wyasygnuje.

Z Urzędu Wojewódzkiego wychodzę wieczorową porą razem z wicewojewodą Cywoniukiem, spieszącym na kolacjo-obiad do swojej kawalerki w odległych blokach spółdzielni mieszkaniowej „Zgoda". Kończymy dialogi służbowe, kiedy mój rozmówca staje w kolejce po chleb, a następnie po półkurczę z rożna.

— To jest demokracja — mówię. — Ale ludzie jeszcze pana nie znają...

— W ten sposób można więcej zobaczyć.

Kolację jadłem około 22.00 w najpierwszej tu restauracji — „Stylowej". Był wtorek, kiedy w lokalu się nie tańczy. Na sali tylko ja i dwa stoliki dalej pięcioosobowe towarzystwo — czterech panów trochę więcej niż średnich, i jedna młoda pani, którą tytułują per kapitanowo.

Jedząc kanonicznego schaboszczaka widzę, że obywatele przy tamtym stoliku znajdują się na etapie, kiedy można pić już wszystko, łącznie z likierem miętowym. Strzępy rozmów:

— ... dostała rangę starszego inspektora i sekretarkę dostała, może ona te studia w końcu zrobi, ja mówię, słuchaj Zosiu, i się natrząsam z niej...

— Panie mecenasie...

— Panie naczelniku...

— Panie prok..., ale sza! — rozglądają się.

Kończę, płacę a panowie tymczasem zroszowali obsadę wszystkich ważniejszych stanowisk w mieście i właśnie dogadują się w sprawie otwarcia izby wytrzeźwień. Wychodzę w przekonaniu, że Biała Podlaska jest miastem pełnym nieograniczonych jeszcze możliwości kadrowych.

— Restauracja druga kategoria, toaleta ostatnia kategoria — mówię do szatniarki.

— Tyle lat, panie, to wszystko trzeba odremontować.

Rankiem w centrum wojewódzkiego miasta budzi mnie — jak powiedziałby Niemen — najpopularniejszy motyw muzyczny wszechczasów, czyli pianie koguta. W Białej Podlaskiej istnieje 2087 indywidualnych gospodarstw rolnych, z czego około 20 procent znajduje się właśnie w samym centrum. Napierają też ci, co opuścili okoliczne wsie, nabyli działki budowlane i wznieśli siermiężne domki, przy których chlewiki i stajenki...

O tym dowiem się później, na razie powstaje problem śniadania przy placu Wolności lub w pobliżu. Ostrożnie omijam grupki starszych i młodszych abajów, wystających na wszystkich czterech rogach placu. Stali tutaj i z wieczora, wulgarnie ubrani, pod-ici. Stoją i z rana, z wyraźnym kacem. Ale śniadanie. „Stylowa" i ewentualnie „Podlasianka" — od 10.00. „Ludowa" — ostatnie tango w Białej z pasztetową w zębach. Na bar mleczny brak ochoty, zresztą dopchać się nie można do lady, bo jedyny w Białej. Zostaje „Bar Gastronomiczny" czy „garmażeryjny" — napis zamazany. I tu wyłania się skandal od samego rana, pośrodku miasta — ów „bar". Że też kierownictwo zakładu dopuściło do takich brudów i takiej dewastacji wyposażenia! Łykam z obrzydzeniem mdły paprykarz z drobiu i uciekam w popłochu. Potem zorientowałem się, że w kawiarni „Maleńka" można zjeść „śniadanie wiedeńskie" w postaci kiełbasy na ciepło z musztardą. Dobre i to.

W tak zwanym świetle dnia widzę sporo odrapanych domostw, widzę starzyznę drewniaków ciągnących się wzdłuż ulicy Brzeskiej; niektóre chyba opuszczone, z okiennicami zabitymi na głucho. Zaglądam od tyłu w obejścia — niechlujnie. Z 3560 budynków mieszkalnych w Białej — 3292 stanowi własność prywatną. Przeważają lokalne szamba oraz indywidualne studnie.

To miasto jest bardzo rozwleczone. Przed samą główną „Stylową" ze zdumieniem kontempluję stojak na rowery. Podobny rząd stojaków zobaczę potem w Podlaskich Zakładach Meblarskich, spółdzielni produkującej ładne zestawy mebli młodzieżowych „Junior". Ta spółdzielnia znajduje się już na Woli, w dodatku za torem, gdzie nie dociera żadna komunikacja miejska, a do centrum jest 40 minut piechotą. Czy to na Woli czy w śródmieściu — komunikacja, obsługiwana przez PKS, przedstawia się raczej mizernie, i rowerów na ulicach ciągle sporo. Rowery nie jako rekreacja znużonych cywilizacją mieszczuchów, lecz jako konieczność.

W Białej udało mi się zorientować, o co w końcu chodzi z tym „czarnym samochodem", postrachem dzieci i matek. To może po prostu poczciwa, pakowna „czajka", taksówka, regularnie raz na dzień obsługująca trasę Biała Podlaska — Lublin — Biała Podlaska, uzupełniająca państwową komunikację dalekobieżną. Interes kwitnie nadal, choć miasto wojewódzkie pod ręką. O czymś to świadczy.

Dziwna sprawa. Stare, parterowe centrum wraz z najbliższymi okolicami ma charakter — bodajbym pożałował tych słów — wiejsko-miejski, ale tu właśnie główny handel i usługi, w lokalikach małych, ciasnych. Przy samym placu Wolności naliczyłem aż pięć sklepików z obuwiem! Statystyka: 50 procent sklepów spożywczych i 74 procent sklepów przemysłowych znajduje się w promieniu najwyżej 1000 metrów od centrum, a z 13 lokali gastronomicznych 9 działa w śródmieściu. Tymczasem wielkomiejskość rośnie jakby na peryferiach w postaci nowych bloków spółdzielni „Zgoda" czy choćby starych bloków przedwojennego osiedla Podlaskiej Wytwórni Samolotów, zbombardowanej doszczętnie 1 września 1939 roku. Wielkomiejskość rośnie na Woli, gdzie również Białskie Fabryki Mebli, Zakłady Przemysłu Wełnianego „Biawena". Ale tu znowu źle z handlem i usługami, gastronomię zaś reprezentuje knajpka „Wolska", gdzie wpada się na setę i galaretę, a konsumuje w płaszczach i kufajkach. Wola to dwie trzecie obszaru miasta i połowa jego mieszkańców. Proporcje i dysproporcje.

Obszedłem i objechałem miasto, znowu stoi sprawa kolacji. W „Stylowej" grają, bo środa już się zdążyła zrobić. Trzeba we własnym zakresie. Wielkiego życia europejskiego w

MIĘDZY ZJAZDAMI

Nie ma miasta w dawnym województwie lubelskim, które by w mijającej pięciolatce nie otrzymało nowego osiedla mieszkaniowego. Oto fragment jednego z osiedli w Białej Podlaskiej

Fot. J. Wielopolski

stylu retro à la „Łuk triumfalny" nie zdołam sobie zorganizować. Zamiast popijać calvados w towarzystwie Joanny i doktora Rawika, mogę napocząć pół litra zwykłej pod naleśniki z jabłkami i posłuchać płyty Joanny Rawik. Na kolację kupiłem nóż kuchenny (12 zł), dodoni (22 zł), luzem dwa ogórki konserwowe z puszki (6,40 zł), 15 dkg smakowitego sera „puławskiego" (6,60 zł) doskonałe sardynki w sosie węgierskim „Sartusz" (8 zł) oraz pół chleba (2 zł). Razem 57 zł, i przekonałem się, iż drogie są kawalerskie kolacje na wyjeździe.

Rozmawiam z Józefą Draganową, dyrektorem Przedsiębiorstwa Handlu Spożywczego w Białej Podlaskiej:

— Miejscowi handlowcy boleją, że dyrekcje ich jednostek są w Lublinie, zaopatrzenie idzie przez Lublin.

— To jest myślenie prowincjonalne: co nam dają, bierzmy! Ja tego w swojej firmie nie odczuwam. Owszem, pracujemy w oparciu o dyspozycje dyrekcji lubelskiej, ale dziś handlowiec musi wykazać się prężnością w zdobywaniu masy towarowej, powinien szukać nowych kontaktów i nowych partnerów. Jak? Po prostu, bierze się teczkę pod pachę i jedzie w Polskę do producentów przełamywać nowowojewódzkie patriotyzmy zaopatrzeniowe. W tej chwili odczuwamy jedynie braki w zakresie galanterii czekoladowej i pieczywa nietrwałego cukierniczego. No i rynek bialski jest zbyt tradycyjny. Każdy się ugania za tym mięsem i wędlinami, a gdzie mrożonki, półprodukty, ryby, sery?

Tak więc okazuje się że i w strefie „sportów krakowskich" oraz coca-coli można sensownie organizować zaopatrzenie. I ów optymistyczny akcent jest mi bardzo potrzebny. Nie chodziło bowiem o to, by kogokolwiek lub cokolwiek ośmieszać, lecz by obywatele Białej zorientowali się, jak wygląda ich miasto widziane przez kogoś z zewnątrz, a przecież codziennie jest tutaj około 10 tysięcy osób przejezdnych i dojeżdżających do pracy. Społeczność bialska ma opinię serdecznej i rodzinnej, niechże więc zapracuje sobie na opinię gospodarnej i samodzielnej. Bo nie wolno czekać, aż cud inwestycyjny odrapane domki i zaniedbane obejścia sam z siebie przemieni w istną chędogość. Trzeba robić jak mieszkańcy dalekiej ulicy Robotniczej na Woli, którzy w czynie społecznym utwardzają swoją ulicę i kładą chodniki.

Zakończyć ten reportaż bez rozmowy z prezydentem Białej Podlaskiej, Włodzimierzem Remleinem — to nie zakończyć go wcale. Prezydent pochodzi z Poznania, a przybył ze Szczecina, gdzie pracował na stanowisku dyrektora Zjednoczenia Przemysłu Terenowego. Umawiamy się, że Biała Podlaska w przyszłość wojewódzką startuje w nader ciężkich warunkach, wszystkiego od razu zrobić się nie da, zaś rozmowa ma być krótka i konkretna: inwestycja, środki, terminy. Bardzo dobrze.

Przede wszystkim miasto liczy na aktywność ludności, i prezydent pokazuje mi dokładny kalendarz czynów społecznych w zakresie budowy oraz przebudowy ulic, chodników, placów, parków i zieleńców, a ja zaraz myślę o konieczności wyasfaltowania parkingu strzeżonego. Z ważniejszych zadań inwestycyjnych, objętych planowaniem centralnym, prezydent wymienia: Fabrykę Armatury Przemysłowej, zakład duży, mogący, jak kiedyś „Biawena", poratować miasto w dziedzinie kanalizacji i wodociągów (początek budowy w roku 1977, ukończenie I etapu w roku 1980), połączony dworzec PKP i PKS, stację obsługi i pawilon sprzedaży samochodów, pawilon handlowy ARGEDU (te inwestycje wzniesione w latach 1976—1977), spółdzielczy dom towarowy WSS „Społem" (lata 1976—1978). Dowiaduję się też, że na Woli właśnie otwierają nowy, duży SAM spożywczy. A hotel? Może się „Orbis" ocknie, jak sobie przypomni o drodze E-8, olimpiadzie i tak dalej.

Drużyna piłkarska Robotniczo-Akademickiego Klubu Sportowego z Białej znajduje się w środku tabeli klasy międzywojewódzkiej, przed Hetmanem Zamość, a za Zjednoczonymi Chełm. Ciekawe by było prześledzić, która z tych drużyn i które z tych województw pierwej wejdą do drugiej, a następnie pierwszej ligi?

W TEATRZE PRZYPŁYW!

Maria Bechczyc-Rudnicka

NIEPOSTRZEŻENIE zbliżyliśmy się do pierwszej rocznicy p.o. dyrekcji Teatru im. J. Osterwy. Należał by się chyba choć jeden kosz kwiatów. Symbolicznie: ładne kwiaty do „ładnego kwiatka". I parę przemówień, rzewnych a miarodajnych (niechby chociaż krótkich, nie szkodzi). Przecie to mini-jubileuszek na wielką skalę geograficzną, proszę państwa. Zresztą może mamy do czynienie z przypadkowym odkryciem, wynalazkiem, kto wie? Znamy wszak historyjkę jabłka Newtona. Cokolwiek by tam gadali determiniści, dla mnie nie ulega wątpliwości: przypadki też rządzą światem, obok dobrej i wolnej woli, oczywiście.

A więc, moi mili, mając na uwadze casus rocznej kadencji p.o. dyrekcji P. Teatru im. J. Osterwy w Lublinie, zakładam, że „p.o. dyrekcja" jest nieprzeciętnym wynalazkiem. No, bo weźmy rzecz od strony psychologicznej: dopóki ktoś naczelny pozostaje „p.o.", pracuje, powiedzmy, w teatrze (gdyż danym exemplum jest teatr) za dwóch — za naczelnego i za artystycznego, uwija się koło spraw placówki, na miarę całej swej energii i inwencji — celem „wykazania się", by sczezły niepokojące dyminutywne literki sprzed okazałego tytułu DYREKTOR. Jeżeli się natomiast zasiada już pewnie na wysokim stolcu z odpowiednim w ręku papierkiem, rezultatem uzgodnień lokalnych i centralnych, o, wtedy można śmiało poczynać sobie — właśnie „sobie"...

Ale dość krotochwilnych rozważań z zakresu paradoksów czy eksperymentów administracyjnych. Przejdźmy do aktualnych konkretów w lubelskim Teatrze im. J. Osterwy. Pisałam niedawno (p. nr 22 „Kameny" — „Czy wielka miłość?"), że dzięki samorzutnej konsolidacji wiernego Lublinowi trzonu zespołu artystycznego, teatr nasz wyszedł cało z przesilenia wywołanego ucieczką kilku zdolnych aktorów, którzy nie wytrzymali nerwowo nieustabilizowanej sytuacji kierowniczej, i naprawdę w zasłużonym gmachu przy Narutowicza (gdzie narodził się latem 44 roku teatr Polski Ludowej) nie zanosi się obecnie na żadną katastrofę. Wręcz przeciwnie: raz po raz odbywa się nowa premiera na dużej lub małej scenie. Nie są to jeszcze bardzo wysokie loty, wolałabym np., by w Reducie 70, zamiast słabszej komedyjki Scibora-Rylskiego „Rodeo", pokazywano pozycje eksperymentalne, ponieważ po to owa scenka została stworzona, takie jest jej naturalne przeznaczenie w ambitnym współczesnym teatrze. Lecz użyczmy „p.o." dyrekcji kredytu zaufania, pozwólmy jej nabrać głębszego oddechu.

W istocie bowiem, powtarzam, nie ma w danym momencie powodu do poważniejszych zastrzeżeń. Jesienią sezon otwarto nie byle jaką pozycją klasyczną, „Miesiącem na wsi" Turgieniewa, w chwili gdy ukaże się niniejszy felietonik, będzie już po premierze Molierowego „Don Juana" w reżyserii Jerzego Rakowieckiego, inscenizacji, która, nie wątpię, stanie się ozdobą tegorocznego repertuaru lubelskiej sceny dramatycznej. A oto i godziwa danina nowoczesności: w grudniu 75 zobaczymy „Grupę Laokoona" Tadeusza Różewicza. Znany reżyser warszawskiego Teatru Dramatycznego, Witold Skaruch, od dłuższego już czasu prowadzi u nas próby tej komedii, atrakcyjnej jak wszystkie sztuki autora „Kartoteki", a zarazem chyba najbardziej przystępnej nawet dla niezbyt wytrawnego widza.

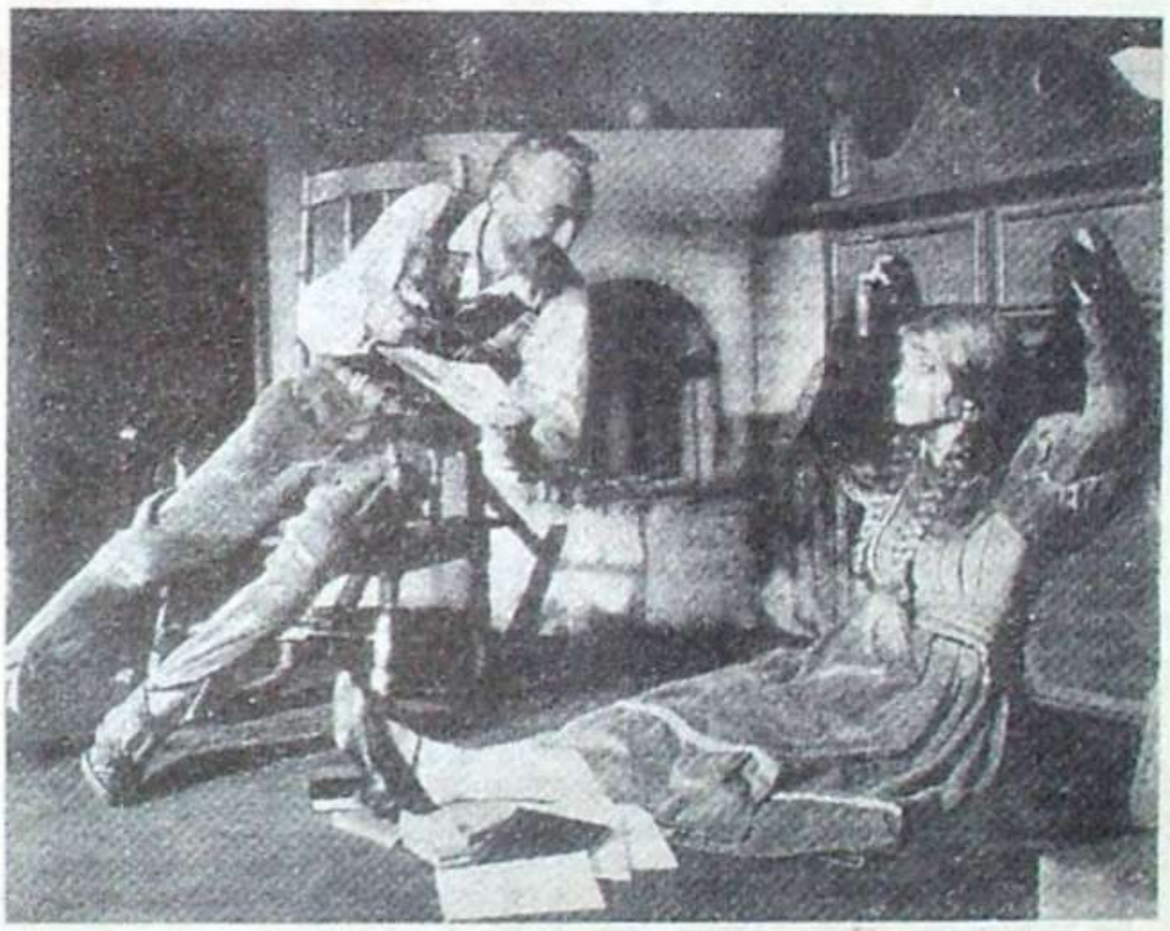

L. M. Montgomery — „Ania z Zielonego Wzgórza". Jadwiga Jarmuł (Ania), Stanisław Olejarnik (Mateusz)

Fot. KAW

Na tle tego pobieżnego szkicu sytuacji Teatru im. J. Osterwy pragnę jeszcze zaprezentować czytelnikowi zwięzłe omówienie pewnej osobliwej pozycji repertuarowej rzeczonego teatru — osobliwej dlatego, że wystawienie jej z pewnych względów zasługuje na uznanie, z innych zaś budzi wątpliwości.

Wiadomo, iż mimo istnienia Teatru Lalki i Aktora im. H. Ch. Andersena, od lat prowadzącego wybitnie aktywną działalność artystyczną, nacechowaną bogatą inwencją, odczuwa się w Lublinie dotkliwy niedobór spektakli żywego planu przeznaczonych dla dzieci i dorastającej młodzieży. Z tego punktu widzenia zdecydowanie się p.o. dyrekcji Teatru Osterwy na słynną „Anię z Zielonego Wzgórza" ma swoją motywację. I ostatecznie nie zaoferowano jakiegoś pseudoawangardowego ple-ple w rodzaju „Paziów Króla Zygmunta", tylko kawałek literatury młodzieżowej z prawdziwego zdarzenia. Pani Lucy Maud Montgomery zyskała swoją „Anią..." światowy rozgłos. Jedną adaptację jej powieści wyreżyserowała u nas nawet dla dorosłych z upodobaniem Zofia Modrzewska. Tak, ale kiedy to było! Pokolenia odmieniają się w drugiej połowie naszego stulecia z zawrotną szybkością. Dziś cała ta akumulacja cnoty wydaje się doszczętnie zwietrzała. Przynajmniej w wersji scenicznej reżysera Teatru im. J. Osterwy, Józefa Jasielskiego. Nie śmiem wypowiadać się o oryginale, gdyż nie miałabym odwagi wziąć do rąk czterech ksiąg L. M. Montgomery, które, jak informuje program, legły u podstaw wyciągu inscenizatora. Ale ów wyciąg przewertowałam dla tej prostej racji, że połowy tekstu nie było słychać ze sceny wskutek niedoskonałości dykcji młodszej części obsady (czy nie należałoby wznowić w naszym teatrze ćwiczeń z dykcji, odbywających się przed laty z inicjatywy Jadwigi Grossman?). Przewertowałam więc, mówię oceniany tu elaborat dramaturgiczny i bez krzty wahania twierdzę, iż zawarte w nim wypowiedzi mogłyby z powodzeniem wypełnić parę numerów „Szpilek".

Wolno odrzec mi na to: przecie zanim odbyła się w listopadzie premiera na scenie Teatru im. Osterwy, jego „Ania..." objechała wszystkie województwa powstałe z lubelskiego drogą „pączkowania" i wszędzia miała ogromną frekwencję. Cóż, świadczy to zwyczajnie o kolosalnym zapotrzebowaniu ludzi na poczciwość. Chociażby z bajki. Nie wiem doprawdy, czy się cieszyć, czy smucić.

Skoro już jesteśmy przy adaptacji, to z obowiązku prawdomówności muszę dodać, że Józef Jasielski (w którego zawsze wierzyłam jako w obiecującego reżysera, a którego mniej lubię jako adaptatora) popełnił, wydaje mi się, kardynalny błąd rozbudowując nadmiernie tekst spektaklu. Przecie rzecz jest całkowicie pozbawiona konfliktu dramatycznego (a taki podnosiliśmy krzyk w latach 50-tych na temat dramaturgii bezkonfliktowej!). Jest tam początkowo krociutka burza w szklance wody lecz z chwilą osiedlenia się Ani na Zielonym Wzgórzu cała akcja opiera się na paru zabawnych figlach i dziwactwach na wskroś dobrego podlotka, a w części drugiej następuje zdecydowana klapa. Czy nie lepiej byłoby tedy poprzestać na tej pierwszej, w której Ania jeszcze nie wyrosła z dziecinnych pomysłów „romantycznych", i zakończyć całe przedsięwzięcie jakimś dowcipnym epilogiem, tańczonym i śpiewanym?

Nie chcąc zbyt długo strzelać z armaty do muchy, stwierdzam na zakończenie nie bez prawdziwej przyjemności, że Jasielski — reżyser wygrał z Jasielskim — adaptatorem 4:1 (łagodnie oceniając). Reżyser naprawdę dokonał cudów wywołując wesołość widowni w pierwszej części spektaklu. Szczególnie komiczna była bardzo pomysłowo potraktowana scenka upicia się dziewcząt „malinowym sokiem".

Co do obsady, spisała się w miarę danych jej możliwości dramaturgicznych zupełnie nieźle. Talent i dobry warsztat aktorski Zofii Stefańskiej i Stanisława Olejarnika stuszowały luki postaci Maryli i Mateusza, Jadwiga Janczewska przezwyciężyła nijakość Małgorzaty Linde, Tadeusz Kuduk (Gilbert) bawił, jak mógł, w czasie deszczu pod parasolem.

Wszakże Jadwidze Jarmuł, wykonawczyni jedynej w spektaklu prawdziwej roli, należy się gromki aplauz. Świetnie ucharakteryzowana i ustawiona na czarujące dziwadełko, była zupełnie odmienna od wszystkich swych dotychczasowych postaci. Najmniej udała się chyba tylko scenka na schodach z Dianą (Krystyna Torończyk). Nie ma tam nic do grania.

Dekoracja Teresy Targońskiej pełna wdzięku w swym nawiązaniu do bajki (nieco zrusyfikowanej w kształcie kolumienek).

Résumé: cieszę się na myśl o „Don Juanie" i „Grupie Laokoona".

I rzecz najważniejsza — publiczność znów chodzi do Teatru Osterwy.

Kim pan był, Herr Ritter?

Stanisław Majewski

MIJAJĄ go na warszawskiej ulicy przechodnie, przepychają w zatłoczonym tramwaju albo w kolejce po najświeższą gazetę. Drobna postać z głową w siwiźnie, wysokie czoło, spokojna twarz i łagodne spojrzenie niczym nie wyróżniają go spośród tysięcy ludzi. Tylko życiorys ma niezwykły i tak bogaty, że obdzielić by można nim co najmniej kilkunastu ludzi. Mowa o Arturze Albercie Ritterze-Jastrzębskim generale brygady WP w stanie spoczynku.

Był na pewno świetnie wyszkolonym, opanowanym o żelaznych nerwach człowiekiem. Ideowym, oddanym sprawie bojownikiem. Oficerem tajnego frontu. Był również wielkim szczęściarzem. W życiu też się to liczy. Czasem nawet na wagę własnego życia...

Jan Rutkiewicz w swych wspomnieniach pisze: *Któregoś dnia po wizycie „Mariana"* (Marcelego Nowotki — przyp. red) *przyszedł Artur Jastrzębski. Żona serdecznie powitała go w korytarzu i oboje weszli do mojego gabinetu. Gdy Artur zdjął futro, oczom naszym ukazał się... oficer SA. W pięknym nowym mundurze. Artur popatrzył na Natalię, roześmiał się i powiedział. „Daj Naci szklankę wody, bo ona zemdleje ze świętego oburzenia".*

— Nie róbcie ze mnie Klossa, bardzo was o to proszę! — śmieje się gen. Jastrzębski, gdy odwiedziliśmy go w domu. — Dość mam zabawy z wnuczkiem, Piotrusiem. Ostatnio telefonował do mnie z bardzo poważną propozycją, bym zechciał wystąpić w jego klasie, (uczęszcza do czwartej klasy szkoły podstawowej) i opowiedział kolegom „o wywiadzie". Dobre, co...? „Bo koledzy chcą poznać Klossa — powiada mi — dlatego masz przyjść w mundurze i koniecznie z medalami". Z trudem udało mi się wyperswadować mu, że to trochę za wcześnie...

— Towarzyszu generale — trudno i darmo, byliście przecież „Klossem". Jaka była Wasza droga do służby w wywiadzie?

— Gdy narastało niebezpieczeństwo napaści faszystów na Kraj Rad, przede mną, Polakiem niemieckiego pochodzenia i komunistą, otwarła się szansa zdania najtrudniejszego egzaminu z patriotyzmu i internacjonalizmu. W czterdziestym pierwszym roku wywiad radziecki zwrócił się do mnie z prośbą o rozważenie propozycji podjęcia pracy w wywiadzie antyhitlerowskim, na dalekim zapleczu wroga. Mieszkałem wtedy w Białymstoku. Propozycję przyjąłem, przeszedłem odpowiednie przeszkolenie i gotów byłem do działania. Miałem zostać przerzucony do tzw. Generalnej Guberni.

Gdy wybuchła wojna, podejmuje wielką grę. Przedzierzga się w Niemca, nazistę, by służyć ojczyźnie.

— Pod nazwiskiem Rittera byliście przecież sądzeni za działalność komunistyczną w przedwojennej Polsce! Czy to nie było zbyt ryzykowne?

— Nie tylko ja! Miałem przecież żonę komunistkę, karaną przed wojną trzema latami więzienia. I mieliśmy dwoje nieletnich dzieci. Rzecz zrozumiała, że groziło nam śmiertelne niebezpieczeństwo. Musieliśmy temu zapobiec...

— Towarzyszu generale, słyszałem kiedyś, że maszerowaliście w kolumnie SA, która obrzucona została granatami w Alejach Ujazdowskich przez członków polskiego podziemia. Czy to prawda?

— To legenda. Na moje szczęście nie maszerowałem w tej kolumnie. Ale była to moja „macierzysta" jednostka. Zginęło wtedy ponad trzydziestu SA-manów. Jak widać, nigdy nie wiedziałem, co i z której strony na mnie spadnie. Już po wojnie towarzyszka Krystyna Kowalska poinformowała mnie, że „Czwartacy" zbierali się do wpakowania mi kuli w łeb, ale ona właśnie, będąc sekretarzem PPR w Warszawie powstrzymała ich od tego. Tak, to był czas, w którym balansowałem na krawędzi życia i śmierci. Wywiad KC PPR miał wtedy o mnie taką opinię: *Artur Ritter jest renegatem, odszedł od ruchu komunistycznego, widuje się go w niemieckim mundurze, w towarzystwie Niemców i własowców. Nikogo — jak dotychczas — nie wsypał.*

— Kiedy zrzuciliście, generale, skórę SA-mana?

— Po wybuchu Powstania Warszawskiego, na polecenie przełożonych, przedostałem się do Świdra, do którego wkrótce wkroczyły oddziały radzieckie. Oczywiście zostałem natychmiast aresztowany jako „germanskij szpion"... W strefie przyfrontowej z takimi oskarżeniami nie ma żartów — a przy mnie znaleziono broń i niemieckie dokumenty. Musiałem jednak grać dalej SA-mana, gdyż nie miałem prawa ujawnić się przed pierwszym lepszym oficerem. Przyznałem się, że jestem niemieckim szpiegiem, że mam jeszcze ukrytą radiostację, szyfry i dysponuję całą siatką agentów. W ten sposób miałem pewność, że nie zostanę poprowadzony pod płot. Takich cennych szpiegów nie rozwala się od ręki. Zgodnie z moimi przewidywaniami odstawiono mnie „wyżej" gdzie mogłem podać hasło i znak rozpoznawczy. Moskwa natychmiast potwierdziła moją tożsamość; przekazałem cenne informacje o dyslokacji nieprzyjacielskich wojsk, o systemie umocnień w Warszawie i okolicy. Wtedy praktycznie zakończyła się moja misja. Rozpocząłem służbę w kontrwywiadzie polskim.

Artur Albert Ritter-Jastrzębski jest autentycznym pierwowzorem Klossa czy Stierlitza. Jego życie, jego antyhitlerowska działalność na najbardziej trudnym i niebezpiecznym odcinku — to niemal gotowy scenariusz do filmu czy serialu telewizyjnego.

Poniżej rozpoczynamy druk fragmentów wspomnień gen. A. Jastrzębskiego w opracowaniu Stanisława Majewskiego. Całość w wydaniu książkowym ukaże się nakładem Krajowej Agencji Wydawniczej.

(Red.)

A. Ja

ŻYCIE NA KR

CZŁOWIEK przychodząc na świat nie wybiera sobie rodziców, środowiska, miejsca urodzenia ani chromosomów... W moim przypadku tak się złożyło, że urodziłem się w spolszczonej rodzinie Niemców i do tego na ziemi rosyjskiej, w mieście Jelec, ówczesnej guberni orłowskiej.

Mój ojciec — Johan Ritter — był tam delegowany przez dyrekcję zakładów w Żyrardowie w celu uruchomienia powstającej fabryki tkackiej Ritterowie — ród z Wirtembergii, od wielu pokoleń trudnili się tkactwem, stając się mistrzami w tym zawodzie. Mój praszczur, jak głosiły podania rodzinne, przywędrował do Polski, konkretnie do Żyrardowa, w połowie dziewiętnastego wieku. Dorastające pokolenia podążały śladem starszych; tak też było z moim ojcem, bo dopiero ja — Artur Albert Ritter — miałem całkiem inne zainteresowania. Już w czasach gimnazjalnych w Łomży wstąpiłem do Związku Młodzieży Socjalistycznej i zacząłem od jawnego wyrażania protestu przeciwko niesprawiedliwości społecznej. Oczywiście wyrzucono mnie z hukiem ze szkoły za „sianie anarchizmu".

W roku 1925 znalazłem się w szeregach Związku Młodzieży Komunistycznej, a dwa lata później przyjęto mnie w szeregi Komunistycznej Partii Polski.

Artur Albert Ritter w latach trzydziestych — jako członek Kominternu

W latach 1927—1930 legalnie działałem w PPS-Lewicy i tam kolejno pełniłem funkcje: sekretarza Komitetu Miejskiego w Łomży, członka egzekutywy okręgu Warszawa-Podmiejska, sekretarza okręgowego w Lublinie. Komunistyczna Partia Polski była zapędzona w podziemia, trzeba było wykorzystywać wszelkie możliwości działania legalnego. Dlatego też — za zgodą Partii — działałem w szeregach PPS-Lewicy. Dodam, że od 1928 roku byłem już funkcjonariuszem KPP.

Po kilku latach działalności i doświadczeń polityczno-organizacyjnych skierowano mnie, w 1932 roku, do Moskwy, gdzie ukończyłem Szkołę Wojskowo-Polityczną Polskiej Sekcji Międzynarodówki Komunistycznej w Bakowce. Szkoła ta miała za zadanie przygotować przyszłych dowódców rewolucyjnych walk zbrojnych proletariatu.

Z perspektywy lat stwierdzam, że szkoła ta była dla mnie i moich współtowarzyszy prawdziwym startem w życiu. Jej program zawierał ogromny ładunek wiedzy ideowej, politycznej i wojskowej, zarówno teoretycznej jak i praktycznej. Własne doświadczenia rewolucyjne przekazywali nam wybitni działacze międzynarodowego ruchu robotniczego.

Po powrocie do kraju zostałem obwodowcem wydziału wojskowego KPP Poznań-Pomorze-Gdynia, Działałem następnie jako sekretarz Lewicy Związkowej w Łodzi i Zagłębiu Dąbrowskim, jako sekretarz Komitetu Okręgowego KPP w Krakowie, Siedlcach, Tarnowie, Rzeszowie i Mławie. Poznałem sanacyjne areszty i więzienia: dwukrotnie byłem więziony w Łomży, odsiadywałem też wyrok na Zamku w Lublinie, gdzie komuna więzienna wybrała mnie swym „starostą"; siedziałem w murach więzień we Wronkach, Krasnymstawie i na Mokotowie w Warszawie.

Po rozwiązaniu KPP przez Kominternu w 1938 roku — osobiście przeżyłem tę decyzję jako najcięższy cios — podjąłem pracę w Społecznym Przedsiębiorstwie Budowlanym w Warszawie, czynnie działając w Związku Pracowników Spółdzielczych.

Wybuch wojny zastał mnie w Warszawie

W drugiej połowie października 1939 roku zdecydowałem się opuścić stolicę i wraz z żoną i dwojgiem nieletnich dzieci udaliśmy się do Białegostoku, zajętego przez wojska Armii Czerwonej.

Dla wszystkich realnie myślących politycznie ludzi było już wtedy oczywiste, że bez pomocy i oparcia o ZSRR nie zdołamy wywalczyć niepodległości Polski. W tej sytuacji obrona państwa socjalistycznego, naszej jedynej nadziei, stała się racją podstawową. Dla mnie, Polaka niemieckiego pochodzenia, wyłoniła się również szansa zdania egzaminu z patriotyzmu i internacjonalizmu.

Był rok 1941.

Nasza ojczyzna już dwa lata była okupowana przez hitlerowców. Wieści przenikające zza kordonu granicznego, z Generalnego Gubernatorstwa, budziły grozę i utwierdzały w przekonaniu, że faszyzm to synonim zbrodni.

W obliczu zwiększającego się niebezpieczeństwa wojny, w końcu 1940 roku i na początku 1941, rząd radziecki powziął odpowiednie decyzje, warunkujące wzmocnienie sił zbrojnych w okręgach nadgranicznych: przystąpiono również do budowy umocnień, przebudowy dróg i mostów.

Spoza granicy nieustannie docierały wieści o koncentracjach wojsk niemieckich i niebezpieczeństwie wkroczenia ich do zachodniej Białorusi. Wyłapywano też niemieckich szpiegów i dywersantów. W Hajnówce aresztowano niemieckiego rezydenta placówki szpiegowskiej, który utrzymywał łączność ze swymi mocodawcami za pomocą gołębi pocztowych. Otwarcie zaczęły krążyć słuchy o tym, że Niemcy przygotowują się do napaści na Kraj Rad. Niepokój w społeczeństwie narastał: ludzie wykupywali mąkę, cukier, naftę. Właściciele zakładów krawieckich, warsztatów szewskich i zegarmistrze chętnie przyjmowali zamówienia, ale nie spieszyli się z ich wykonaniem...

Wiosną 1941 roku skontaktował się ze mną oficer wywiadu radzieckiego. Wyjaśniwszy uprzednio całokształt ówczesnej sytuacji politycznej, bez owijania w bawełnę powiedział o nieuchronnie zbliżającym się starciu Niemiec hitlerowskich ze Związkiem Radzieckim. Prosił mnie o rozważenie możliwości podjęcia pracy w wywiadzie antyhitlerowskim: wychodzono ze słusznego założenia, że moje pochodzenie, czysto germańskie nazwisko, bogate doświadczenie działacza i konspiratora oraz rozległe kontakty — stwarzają mi warunki wyjątkowo dogodne i sprzyjające do rozwinięcia skutecznego działania. Dano mi czas do namysłu i rozważenia propozycji, której przyjęcie oznaczało zarazem rozłąkę z rodziną na czas niewiadomy.

W umówionym czasie wyraziłem zgodę. Przeszedłem, z konieczności przyspieszony, kurs podstawowych metod prowadzenia antyhitlerowskiej pracy wywiadowczej, zwłaszcza umiejętności rozpoznawania sił zbrojnych przeciwnika, zdobyłem i inne niezbędne wiadomości z zakresu mojej przyszłej misji.

Sprawa nie była jednak wcale prosta. Białystok, trzeba wiedzieć, był w tym czasie przystanią dla tysięcy uciekinierów z centralnej Polski. Wśród ludzi bezsprzecznie uczciwych, którzy porzucili rodzinne strony z przyczyn natury politycznej bądź ideowej, nie brakło szumowin najróżniejszego autoramentu, szpiclów hitlerowskich i zwykłych karierowiczów, dalekich od jakichkolwiek przekonań. Należało zatem przygotować legendę o moim zniknięciu z Białegostoku, nie budzącą żadnych innych domysłów. Przyjęliśmy, że rozpowszechni się w kręgu znajomych wersję o moim wyjeździe z rodziną na wschód, w głąb ZSRR.

Wszystko rozwijało się zgodnie z przyjętym planem. Za kilka dni miałem rozstać się z żoną i dziećmi. Z ludzkiego obowiązku nie mogę pominąć milczeniem jej hartu, rozumu i oddania. Żona bowiem zdawała sobie sprawę z ciężaru, jaki będzie dźwigać sama w czasie niezwykle trudnym i niebezpiecznym. Nie wiedzieliśmy przecież, na jak długo mamy się rozstać... Nie usłyszałem z jej ust najmniejszego słowa wymówki czy skargi. Przeciwnie: wiedząc, że muszę opuścić rodzinę dla partii, bo tyle tylko wiedziała, starała się zachować pogodę ducha, żeby nie utrudniać mi zadania.

Do rozłąki wtedy jednak nie doszło.

Nagła napa
skich na Zwią
dowała, że mu
do tzw. Gene
rowcy sami p
w Białymstok

Wojskowe w
stępnego dnia
lepiły obwiesz
dano do wiad
ba, zatrzyman
metrów od m
szkania, zosta
sądu.

Związany j
czątkowo czek
Centrali. Nikt
nie zwracał.
dziłem na zn
taktowe. Bez
gdyż dla czło
był to stan p
jący.

Dni upływa
nikt się nie
trochę, że na
na sam z Trze
piłem jednak,
chwili i czasie
Miałem zresztą
danie: „Wykon
— przedzierzgn
bez oglądania

Treść obwies
nie przeraziła
się na odbycie
dróży. Postano
istnieją szanse
Warszawy, bliż

Wymaszerow
o świcie, w ch
godziny policyj
mi drogami dot
rzystając niekie
manek, opłacan
Pieniędzy radz
chciał przyjmo
łem wtedy chło
wiezienie mnie
gdzie — jak si
panował dość
dlowy. Korzyst
biegłych szmugl
żdą ścieżynkę
granicznej, bez
czyłem granicę
wieckiej pociąg
Warszawy. Na
Białegostoku d
zaledwie jeden

ski, gen. bryg. w stanie spoczynku. Zdjęcie dzisiejsze

WSZELKIE PRAWA ZASTRZEŻONE

AWĘDZI

Artur Jastrzębski

Niemiec hitlerow- Radziecki spowo- m przekradać się Guberni. Hitle- li się niebawem

niemieckie na- jęciu miasta rozs- e, w którym po- d, że każda oso- lej niż 30 kilo- stałego zamie- rozstrzelana. Bez

wywiadem, po- na dyspozycje z jednak do mnie mnie też zacho- ni punkty kon- ność dokuczała, mego pokroju 7, wręcz poniża-

niestety nadal wał. Pokpiwałem pozostałem „sam rzeszą". Nie wąt- w odpowiedniej tanę odnaleziony. powierzone za- ując pochodzenie się w Niemca" — na instrukcje.

nia niemieckiego Zdecydowałem konesansowej po- m sprawdzić, czy rzedostania się do central wroga.

z Białegostoku się po wygaśnięciu Klucząc boczny- em do granicy, ko- z chłopskich fur- czym się dało. ich nikt już nie Pamiętam, da- brzytwę za pod- stronę kordonu, później okazało — wiony ruch han- z usług prze- ów, znających ka- organizację służby dopotów przekro- Z Ostrowi Mazo- m udałem się do rzebycie drogi z stolicy strawiłem ień, co w ówczesnych warunkach poczytywałem sobie za sukces nie lada.

Sterroryzowana Warszawa wywarła na mnie przygnębiające wrażenie. Nade wszystko drażniły mnie flagi ze swastyką, powiewające na wszystkich większych budynkach zarekwirowanych na potrzeby wojska i administracji. Najwięcej było ich, oczywiście, w samym centrum miasta. Taki widok wzmagał nienawiść do faszystów, gęsto paradujących ulicami. Pod rozstawionymi „szczekaczkami" gromadziły się przygnębione tłumy, wysłuchujące ostatnich komunikatów frontowych, utrzymanych w chełpliwym, goebbelsowskim tonie. Olbrzymie tablice z mapą Kraju Rad, na której jaskrawymi strzałkami przedstawiano zwycięski pochód hitlerowski na wschód, miały świadczyć, że Deutschland siegt an allen Fronten.

Mój pierwszy pobyt w Warszawie trwał zaledwie kilka godzin. Odszukałem krewnych i zorientowałem się, że istnieją możliwości zamieszkania i urządzenia się. Całkiem przypadkowo odnalazłem też w mieszkaniu krewnych moją przedwojenną legitymację ubezpieczeniową, tak zwaną książkę Kasy Chorych, w której widniała fotografia żony i zapis dwojga dzieci. Dokument ten oddał mi wielką przysługę, gdyż mógł zastąpić na razie paszport radziecki, którym posługiwać się raczej nie należało. Paszport ukryłem i z książeczką Kasy Chorych w kieszeni udałem się w drogę powrotną.

Przejście granicy tym razem okazało się trudniejsze: zauważony przez niemiecki posterunek, omal nie przypłaciłem tego życiem. Kiedy nie reagowałem na dalekie wezwania do zatrzymania się, posypała się w moim kierunku długa seria z automatu. Na szczęście odległość była dość duża, a może strzelec też nie najlepszy. padłem na ziemię i odczołgałem się z niebezpiecznej strefy. Musiałem zrezygnować z drugiego „podejścia". Zdesperowany wpadłem na myśl, że najbezczelniej zwrócę się wprost do żandarma strzegącego granicy, iż udaję się na poszukiwanie żony i dzieci przebywających w Białymstoku u krewnych. Oczywiście, nie omieszkałem podsunąć pod nos żandarma książki ubezpieczalnianej z nazwiskiem tak germańskim, że musiało ono wzbudzić zaufanie. Władałem językiem niemieckim, mogłem więc poużalać się nad losem moim i rodziny, którą staram się odzyskać „dzięki wyzwoleniu jej spod bolszewizmu".

Żandarm łypał ślepiami, wysłuchał mnie, jednak widać przyjął wyjaśnienie, bo gestem dłoni wskazał, że mam drogę wolną. Wieczorem szczęśliwie i cało dobrnąłem do Białegostoku. Najpierw wstąpiłem do znajomych, którzy już w progu powitali mnie słowami:

— Co, zawróciłeś? A mówiliśmy, że nie uda ci się przedostać do Warszawy!

Byli święcie przekonani, że po bezowocnych próbach przekroczenia granicy zawróciłem z drogi. Z trudem uwierzyli w powodzenie mojej wyprawy, która w obie strony trwała dwie doby.

Nazajutrz w mieszkaniu Krystyny Kowalskiej na Dojlidach zgromadziłem grupę towarzyszy, przygnębionych zresztą i pogrążonych w tragicznych przewidywaniach; opowiedziałem o wrażeniach z krótkiego pobytu w stolicy, udzieliłem też wskazówek, jak mają przedostawać się na drugą stronę.

Jeśli chodzi o mnie, decyzję już podjąłem. Bez dłuższej zwłoki przygotowałem żonę z dziećmi do drogi. Szliśmy niby udająca się na spacer rodzinny para małżeńska. W wózku, razem z dzieciakami, ulokowaliśmy tylko to, co było dla nas najniezbędniejsze. Wolniutko, bez pośpiechu, żeby nie wzbudzić podejrzeń, opuszczaliśmy miasto. Dopiero na szosie zatrzymaliśmy jakąś furmankę; kurs żona opłaciła parasolką. Wielokrotnie musieliśmy korzystać z takich pojazdów. Wreszcie jednak znaleźliśmy się na granicy. Żona z dziećmi pozostała w pewnej odległości od bariery granicznej, ja zaś udałem się wprost do żandarma. Wytłumaczyłem mu, że poprzedniego dnia zostałem przepuszczony przez jego kolegę, że szczęśliwie udało mi się odnaleźć żonę i dzieci, z którymi wracam teraz do Warszawy. I znowu gram tę samą płytę: długo czekałem na wyzwolenie rodziny spod bolszewików, jestem Niemcem, nazywam się Ritter — z rodu znanego w całej Wirtembergii. Żandarm wysłuchał, skinął na żonę, zachęcając ją do zbliżenia się, następnie zerknął na fotografię w książeczce Kasy Chorych i nie kwestionował tożsamości, bo dźwignął przed nami ramię szlabanu.

I tak oto znaleźliśmy się w stolicy.

Moje pierwsze kroki wiodły do starych towarzyszy i dawnych znajomych. Odnawiałem kontakty. Szczęśliwie spotkałem mecenasa Edwarda Grabowskiego, męża prof. Natalii Gąsiorowskiej, mego wielokrotnego obrońcę w procesach sądowych z lat trzydziestych. Za jego życzliwym pośrednictwem nawiązałem łączność z Antoniną Merkiel-Sokolicz, która — jak się następnie okazało — była wtedy duszą żoliborskiej organizacji Stowarzyszenia Przyjaciół Związku Radzieckiego.

Antonina Merkiel-Sokolicz

Antonina Merkiel-Sokolicz została później aresztowana i zamordowana w Oświęcimiu. Znałem tę niezwykłą kobietę od 1931 roku, kiedy to zajęła się organizowaniem pomocy prawnej dla mnie i towarzysza Ćwika, gdy przebywaliśmy w więzieniu we Wronkach. Tą drogą związałem się z żoliborską organizacją SPZR, której zadaniem w tym okresie było przede wszystkim niesienie różnorakiej pomocy jeńcom radzieckim, nieludzko traktowanym przez hitlerowców. Poza wymienionymi już osobami działali w SPZR na Żoliborzu tacy ludzie jak b. senator, nestor ruchu ludowego, Tomasz Nocznicki, inż. arch. Stanisław Tołwiński i inni.

Tomasz Nocznicki

Wspólnie z Antoniną Sokolicz i Tomaszem Nocznickim wydaliśmy też pierwszą odezwę w duchu jednolitofrontowym, wzywając w niej społeczeństwo do jedności w walce z wrogiem o wolność i niepodległość Polski. Odezwa ta, jak pamiętam, odbita została na powielaczu przez Józefa Balcerzaka, w jego mieszkaniu na żoliborskiej kolonii WSM. Józef Balcerzak również zginął później z rąk okupanta. Tej nocy, kiedy gestapo przyjechało po niego, cudem tylko uratował się ukrywany u nich od kilku dni jeniec radziecki, Ibrahim z Uzbekistanu. Ibrahim właściwie ukrywał się na tej samej kolonii u państwa Olechniewiczów. Był to miły i pogodny chłopak. Dla odprężenia nerwowego poszedł na parę dni do mieszkających przy tej samej klatce schodowej Balcerzaków. Krytycznego wieczoru zszedł akurat do swoich stałych gospodarzy na pogawędkę i już pozostał u nich na noc. Wtedy właśnie gestapo zabrało Balcerzaka.

Do wybuchu wojny pracowałem w Społecznym Przedsiębiorstwie Budowlanym. Powróciwszy do Warszawy mogłem tam natychmiast podjąć pracę. Nakłaniali mnie zresztą do tego, gwarantując niezły azyl, Tołwiński i Szwalbe. Ten ostatni również pracował w SPB. Byłem już zdecydowany, ale po wyjściu z biura przypadkowo natknąłem się na ulicy na byłego działacza PPS, niejakiego Kurzelę, aktywistę związkowego, z którym przed wojną nie raz „pojedynkowaliśmy" się politycznie. Kurzela wykrzyknął na mój widok:

— Rany boskie! Towarzyszu, co wy tu robicie? Lepiej nie pokazujcie się w tym rejonie!

Kurzela miał rację. Zbyt dobrze znano mnie tu z działalności komunistycznej przed wojną i lepiej było nie wywoływać wilka z lasu. Miałem przed sobą cel i zadanie — wszystko inne musiało być teraz temu podporządkowane.

Inż. Stanisław Tołwiński powierzył mi nadzór nad rozbiórką obiektów zniszczonych w czasie działań wojennych. Odpowiadała mi taka robota. Dysponowałem własnym czasem i mogłem nieskrępowanie poruszać się po Warszawie.

Urządziwszy jako tako rodzinę i zapewniając jej minimum egzystencji, mogłem wreszcie aktywniej uczestniczyć w działalności politycznej. Oczywiście nadal współdziałałem z SPZR na Żoliborzu.

Nadszedł dzień, kiedy na ziemię polską przybyła długo wypatrywana Grupa Inicjatywna Polskiej Partii Robotniczej z towarzyszem Marcelim Nowotko na czele. W skład grupy wchodzili: Paweł Finder, Czesław Skoniecki, Andrzej Szmidt vel Pinkus Kartin, Bolesław Mołojec oraz Maria Rutkiewicz — radiotelegrafistka. Grupa lądowała pod Warszawą na spadochronach w nocy z 27 na 28 grudnia 1941 roku.

Andrzej Szmidt vel Pinkus Kartin

Czesław Skoniecki

Zdjęcia H. Jurko

Marysia Rutkiewicz, która jest siostrą mojej żony, pierwsza zjawiła się w stolicy, poszukując pomocy dla Marcelego Nowotki, który przy zeskoku złamał nogę i oczekiwał lekarza, ukryty u towarzyszy w Radości. Dzięki Marysi Skoniecki, któremu powierzono organizację komórki wywiadu antyhitlerowskiego, dowiedział się, że jestem już w Warszawie.

Czesław Skoniecki, niskiego wzrostu, krępy, miał ujmujące, charakterystyczne rysy inteligenta o chłopskim rodowodzie. Przeżył wszystkie niedole chłopskiego bytu, własnymi siłami z niego się wydobył, wykształcił, a potem związał życie z partią komunistyczną. Był organizatorem ruchu chłopskiego, redaktorem pism, działaczem. Znaliśmy się dobrze. W latach 1929—1930, kiedy pełniłem obowiązki sekretarza okręgowego PPS-Lewicy w Lublinie, Skoniecki był redaktorem tygodnika „Samopomoc Chłopska": lokale obu naszych organizacji znajdowały się przy ulicy Zamojskiej (dzisiaj ul. M. Buczka — przyp. red.) po sąsiedzku. Współdziałanie PPS-Lewicy z „Samopomocą Chłopską" układało się wtedy na terenie lubelskim wyjątkowo pomyślnie. Razem z Czesławem więzieni też byliśmy na Zamku lubelskim i organizowaliśmy tam głodówkę protestacyjną.

Czesław, przy pierwszym naszym spotkaniu w Warszawie, powiedział:

— Poszukiwano cię po całym Związku Radzieckim. Miałeś lecieć razem z nami. To dobrze, że już tu jesteś.

Do Moskwy popłynęła w eter depesza o nawiązaniu ze mną łączności. Na odpowiedź nie czekaliśmy długo. Polecenie dla mnie brzmiało: „Przedzierzgnąć się w Niemca. Przystąpić do wykonywania zadań".

c.d.n.

LSM CZYLI WSPÓLNOTA

Ireneusz J. Kamiński

O LSM napisano setki artykułów, nakręcono film, „Słoneczne wzgórze" nieraz gościło w telewizji. Roztkliwiano się nad spółdzielnią, stawiano za wzór, chwalono na wszystkie sposoby. Przez aleje osiedla im. Mickiewicza oprowadzano stada wycieczek — krajowych oraz, rzecz jasna, zagranicznych. Goszczono tutaj dostojników państwowych i fachmanów od budownictwa mieszkaniowego. Stanisław Kukuryka, pierwszy prezes Zarządu LSM, trafił nawet do szopki satyrycznej kabaretu „Czart" (do Warszawy — później), gdzie „jego" postać użalała się kokieteryjnie:

Przyjdzie chyba zawód pełnić przewodnika
Rocznie dygnitarzy zjeżdża do mnie stu
Temu pokaż szkołę — temu część śmietnika
Ciągle coś wyjaśniam — już mi braknie tchu.

W kwietniu 1957 roku, w momencie powstania, Lubelska Spółdzielnia Mieszkaniowa liczyła 40 członków. W przyszłym roku liczba mieszkańców wszystkich siedmiu osiedli zbliży się do 40 tysięcy. To już spore miasto, albo inaczej mówiąc — miasto w mieście. Takie określenie uzasadnia nie tylko wielkość przestrzeni urbanistycznej, ale i charakter tego zespołu, wyróżniający go w panoramie dzielnic Lublina. Przejawia się on w wyglądzie osiedli, choć bardziej może w klimacie społecznym, który tam panuje. Krótko mówiąc: na LSM mieszka się po ludzku. Do dziś nie straciły aktualności słowa Aleksandra Zawadzkiego wypowiedziane na XIII Plenum KC partii w 1963 roku:

Chciałbym, aby wszędzie w naszym kraju nowe osiedla wyglądały tak, jak wygląda osiedle spółdzielcze w Lublinie — zazielenione, czyste, utrzymane pod każdym względem w porządnym stanie przez samych mieszkańców... Mówię o tym dlatego, że w tym pięknym osiedlu lubelskim, jak i wszędzie, gdzie wysiłek państwa oraz potęgujący ten wysiłek i pomnażający go społeczny czyn samych mieszkańców, młodzieży — przynoszą tak znaczny wzrost kulturalny, ludzie są jacyś inni, serdeczniejsi, bardziej światli i postępowi.

Pierwsi lokatorzy zamieszkali w domach LSM gdzieś w 1959 roku. Od tego momentu spółdzielnia osiem razy zdobywała pierwsze miejsce w krajowym współzawodnictwie CZSBM: sześciokrotnie „za Kukuryki", dwukrotnie „za Fijałkowskiego", który funkcję prezesa sprawuje od dwóch lat, od początku istnienia LSM przewodnicząc zresztą Radzie spółdzielni. „Słoneczne wzgórze" — ta sympatyczna, acz nieco pretensjonalna nazwa ulega zapomnieniu — cieszy się uznaniem społecznym. To nie ulega kwestii. W branży spółdzielczej słyszy się jednakowoż czasami, że sukces materialny i moralny LSM jest rezultatem „szczęśliwego zbiegu okoliczności, także personalnych". Domyślamy się, że mimochodem wskazuje się tutaj m. in. na tzw. chody inicjatorów i animatorów spółdzielni. Na przykład Kukuryka...

Pochodzi z Zemborzyc — no dobrze, niezłe miejsce startowe. Studiował w Lublinie ekonomię, specjalizując się bodaj w organizacji targowisk zwierzęcych oraz w trudnej sztuce oceny świń. Skończył przecież prawo i rozpoczął pracę w Wydziale Budownictwa Wiejskiego Prezydium WRN. Owszem, taka pozycja umożliwiała tzw. dojścia, ale nie przesadzajmy, bo niejeden zgubił się na tej trasie. Może więc Edward Fijałkowski był bardziej „chodliwy".

Edwarda Fijałkowskiego określono kiedyś jako „ideowego realistę"...
Fot. J. Trembecki

Urodził się trzydzieści kilometrów od Lublina, ale od pierwszego roku życia mieszka nad Bystrzycą — też pięknie. Ukończył prawo na UMCS, w 1957 roku został wiceprzewodniczącym Wojewódzkiej Komisji Planowania Gospodarczego, a w październiku tegoż roku — wiceprzewodniczącym Prezydium MRN. Był zatem osobistością wpływową, nie ulega wątpliwości. W 1961 roku wrócił do WKPG na stanowisko jej szefa. Bez komentarzy. Zajrzyjmy zatem do biografii Wacława Rzeszutki, obecnie zastępcy prezesa LSM do spraw eksploatacji.

Urodzony na Zamojszczyźnie. Prawnik. W 1957 roku był kierownikiem Działu Inwestycji i Budownictwa WKPG. To on właśnie zaproponował założenie w Lublinie odpowiednio dużej spółdzielni mieszkaniowej, jako że 147-tysięczny wtedy ośrodek rozwijającego się przemysłu miał jeden z najwyższych w kraju wskaźnik zagęszczenia na 1 izbę... Więc zgoda, Rzeszutko też miał pewne możliwości działania.

Wypada zatem przyznać, że Lubelska Spółdzielnia Mieszkaniowa powstała dzięki inicjatywie i aktywności ludzi zajmujących mniej lub bardziej eksponowane stanowiska w mieście. Wspierał LSM wiceprzewodniczący Prezydium WRN, Bolesław Nazimek, niejedno zawdzięczać należy Pawłowi Dąbkowi... Ale to przecież naturalne, bo chodziło o rozwiązanie wielkiego i trudnego problemu całego Lublina!

Ten „bukiet personalny" nie wyjaśnia jednak do końca późniejszych sukcesów społecznych LSM, nie wyjaśnia faktu, że w zachodniej części miasta ukształtowała się zbiorowość ludzka, zainteresowana losami całej spółdzielni i aktywnie uczestnicząca w jej rozwoju. Faktyczną przyczyną powodzenia było liczenie się z opinią mieszkańców przez Zarząd, rozwój różnych form samorządności, niedopuszczenie do powstania podziału lokatorzy — administracja. LSM od początku była spółdzielnią czyli wspólnotą społeczną.

Projekt pierwszego osiedla LSM poprzedziły dyskusje z przyszłymi użytkownikami. Rozpisano specjalną ankietę wśród członków, inżynier Feliks Haczewski przedstawiał ludziom propozycje swojego zespołu, słuchał ich opinii dotyczących wielkości i funkcji mieszkań, a także całego osiedla. Wielu z tych, którzy wprowadzili się później do budynków przy ul. Grażyny, mogło z czystym sumieniem przyznawać się do ideowego współautorstwa projektu. Nie ma chyba sensu rozwodzić się nad wartościami psychologiczno-społecznymi takiego podejścia do sprawy, podejścia, które jakby personalizowało proces inwestycyjno-projektowy, wykluczało nerwową zabawę w ciuciubabkę, do zwyczajnego marginesu sprowadzając możliwość rozczarowania widokiem „nie takiego" mieszkania.

Z konsultowania się z ludźmi już w tej wstępnej fazie projektowania Zarząd LSM próbował uczynić zasadę. Niestety, kiedy w połowie lat sześćdziesiątych Oskar Hansen zabierał się do osiedla im. Słowackiego, pragnąc zrealizować w Lublinie miniaturę swego „Linearnego Systemu Ciągłego", sprawa ostatecznie upadła. Owszem, rozpisano ankietę wśród przyszłych użytkowników mieszkań, lecz skończyło się na intencjach. Lokatorzy otrzymali „zwykłe przydziały" i trzeba powiedzieć, że właśnie wtedy na dobrej opinii LSM pojawiła się drobna skaza. Był to zresztą trudny okres dla naszego budownictwa, zachęty do oszczędzania przyniosły w efekcie zmniejszenie metrażu mieszkań, ciemne kuchnie etc. Jeśli 1 metr kwadr. powierzchni użytkowej w osiedlu mickiewiczowskim kosztował od 2200 zł do 3000, to projektant „Słowackiego" musiał zejść poniżej 2 tysięcy. Jeśli w tym pierwszym osiedlu wskaźnik gęstości zaludnienia równał się 390 mieszkańców na 1 ha, to w drugim — 700. Warto jednak wiedzieć, że od 1973 roku Zarząd LSM stosuje bardziej życiowe normy przy przydzielaniu mieszkań nowym lokatorom osiedla im. Słowackiego.

Dyskusje z udziałem architektów zbliżały ludzi do ważnych problemów społeczno-gospodarczych spółdzielni, umożliwiając zarazem wzajemne poznanie się. Na początku istnienia LSM konsekwentnie starano się uniknąć anonimowości w życiu osiedla. Trafnie przypuszczano, że od powodzenia tych wysiłków zależeć będzie klimat emocjonalny i treść społeczna „Słonecznego wzgórza". Intuicyjnie (?) odczytywano głębszy sens drobnych czynności i nadawano im ozdobność ceremoniału. Klucze do mieszkań, na przykład, wręczano uroczyście, przy kawie i ciastkach, lokując przyszłych sąsiadów jednego przy drugim, co niejednokrotnie inicjowało późniejsze kontakty towarzyskie: zwyczaj ten zachowano zresztą do dzisiaj. Świeżo zasiane trawniki, dopiero co posadzone drzewa, krzewy i rozliczne gatunki kwiatów natychmiast oddano pod opiekę młodzieży szkolnej. 90 ha obejmuje ten wyjątkowo wspaniały i pieczołowicie pielęgnowany zieleniec, którego utrzymanie w skali rocznej kosztuje milion złotych. „Gdyby nie stała pomoc społeczna mieszkańców LSM, koszt konserwacji byłby kilkakrotnie wyższy — mówi inżynier Andrzej Mazurek, absolwent lubelskiej Wyższej Szkoły Rolniczej, który przy pomocy 35-50 pracowników (w zależności od pory roku) 12 już lat troszczy się o magnolie, róże, jałowce.

Od początku LSM lokatorzy własnoręcznie sprzątają klatki schodowe, albo z własnej kieszeni opłacają „zastępców", występujących z reguły pod szyldem spółdzielni „Higiena". To rozwiązanie zdaje się upowszechniać... No cóż, pogłębianie się społecznego podziału pracy jest podobno nieuchronnie związane z postępem nowoczesności.

Wspomniałem o sprawach raczej znanych. Nie wszyscy jednak, jak się zdaje, wiedzą, że owe „drobiazgi" miały poważny wpływ na autentyczne przypisanie się

W 50 ROCZNICĘ ŚMIERCI WŁADYSŁAWA REYMONTA

POLSKIE -

MICKIEWICZ — Słowacki, Żeromski — Prus, Sienkiewicz — Reymont. Tradycja patrzenia na dzieje naszej literatury przekazuje takie pary złączone na zasadzie niezupełnie opozycji, niezupełnie partnerstwa. Tak się przywykło myśleć w szkole i ten mnemotechniczny nawyk pozostał do dziś, posiadając zresztą pewne uzasadnienie. Może najmniejsze w wypadku dwójki trzeciej, ale jeśli uwzględnimy „nachylenie tematyczne" obu pisarzy — u pierwszego w stronę historycznie potraktowanego obrazu rycerstwa, u drugiego w stronę współczesnego autorowi pejzażu wsi — podstawa kojarzenia zyskuje wyrazistość.

Reymont. Właściwie nazywał się Rejment, a i kolejność imion jest inna, niż na okładkach książek: najpierw Stanisław, później Władysław. Możliwe, że młodemu chłopcu owo „Rejment" (jak zresztą gwarowo się mówiło) zanadto przypominało „regiment", a głoska „y" zawiodła dodatkowo na snobistyczne pokuszenie, dość, że pisownia ustaliła się nie tylko zapomnieniem autentyku, ale i szeregiem aktów, wśród których dyplom Akademii Szwedzkiej zajmuje miejsce naczelne.

Urodził się dnia 7 maja 1867 roku w osadzie Kobiele Wielkie, w rodzinie organisty. Ojciec Józef na skutek swoich zainteresowań miał w okolicy opinię „literata", co nie koniecznie musiało posiadać posmak ironiczny, jako że dysponował dość gruntowną wiedzą muzyczną i potrafił uczynić z niej narzędzie zarobkowania. Nie długo jednak przyszły pisarz w owych Kobielach przebywał. Miał zaledwie rok, kiedy rodzice przeprowadzili się do Tuszyna pod Łodzią, o czym zadecydowały warunki familijne wówczas formowane głównie czołową i opiekuńczą w rodzinie pozycją księdza kanonika Szymona Kupczyńskiego, stryja matki Reymonta.

Miał Stanisław Władysław dwa na wstępie swego życia szkopuły. Pierwszym było rodzeństwo, drugim fortepian. Oczywiście nie ma mowy o antagonizmie wśród sióstr i braci, jest sporo dowodów bliskich między nimi więzów uczuciowych, ale państwo Józefostwo mieli w sumie dzieci ośmioro, troski materialne zabierały z konieczności wiele sił życiowych, tak więc piąty z kolei Stanisław Władysław nie zawsze mógł otrzymać należny mu przydział pedagogicznej uwagi. W dodatku nie cierpiał fortepianu, do którego był przymuszany przez krojącego mu karierę organisty ojca. Kiedy się w końcu ustaliło, że z muzyki będą nici (później jako pisarz bardziej wykazuje temperament malarski niż muzyczny), została jeszcze jedna możliwość realnego wejścia w życie: krawiectwo. Trzynastoletni Reymont idzie na naukę szycia ubrań do Warszawy, na ulicę Miodową 10, do swego szwagra Konstantego Jakimowicza, męża Katarzyny.

Ale znów — nie igła i żelazko pasjonują młodego chłopca, tylko teatr. Teatr i wiersze. Już siedem(!) lat temu czytał „Lillę Wenedę", „Robinsona Cruzoe", powieści Walter Scotta. Teraz sam pisze. Wprawdzie o dziesięć lat starszy brat Franciszek odradza mu to gwałtownie, ale to jest jedyny punkt, przy którym nie masz braterskiej zgody. Władysław nie tylko pisze, ale zapisuje się. Do wędrownej trupy teatralnej. Jest równocześnie wszędzie: w zakładzie krawieckim, w domu (już w Wolbórce — 12 km od Tuszyna), na leśniczówce u ciotki Michalskiej, na trasach dramatycznego zespołu, do którego należy wielce dziwnie, bo tyleż niesystematycznie. W rzeczywistości — nie ma go nigdzie. Uznano w rodzinie, że może ustatkuje go Kolej Warszawsko-Wiedeńska, której przystanek znajdował się zresztą niedaleko Wolbórki. Bogać tam. Zakochał się w żonie naczelnika stacji, z tego powodu (26 maja 1889 roku) się postrzelił. Rzucił pracę. Za przypadkowym pośrednictwem gimnazjalnego nauczyciela, niejakiego Puscha, nawiązuje kontakt z częstochowskimi spirytystami. Nawet próbował pierwszych kroków w nowicjacie ojców paulinów na Jasnej Górze. Pracował u geometry, u kupca drzewnego, w sklepie z dewocjonaliami.

W tym czasie można mówić o początkach literackiej działalności, którą młody adept uznał ostatecznie za główny kierunek swoich zainteresowań, daleko jednak było do upragnionych sukcesów. Reymont zrozumiał, że prowincja ich nie przyniesie. 26 października 1893 roku definitywnie porzuca kolej: *Dwa lata osiem miesięcy to dość na mnie w jednym miejscu posiedzieć.* I jeszcze: *Czeka mnie nędza, trud i wiele innych ładnych rzeczy, ale pomimo to idę, rzucam się głową naprzód w życie,*

Kamena str. 10

mieszkańców LSM do swego miejsca. Socjologowie twierdzą, że w obrębie spółdzielni nastąpił proces identyfikacji: jednostki z przestrzenią urbanistyczną i środowiskiem społecznym. Jeśli jednak ktoś nie ma zaufania do socjologów („przyczynki i tendencje, ech"), niech wybierze się do osiedli innych spółdzielni mieszkaniowych Lublina, także Chełma, Puław, Białegostoku. Porównanie musi wypaść na korzyść LSM, co nie znaczy, że ta nasza znakomitość spełnia wszelkie kryteria harmonii społecznej. Ostatecznie jednak nawet najsprawniejsza organizacja nie jest w stanie precyzyjnie uporządkować egzystencji 40 tysięcy indywiduów. Co i dobrze.

Wspomniałem o sprawach znanych, lecz nie wszyscy zapewne orientują się, że wymienione rozwiązania były swego czasu pionierskie na gruncie polskiej spółdzielczości mieszkaniowej. Klucze przy kawie, zieleń niezwykła, sprzątanie klatek, rozliczne konkursy „na najlepszego" — to wszystko zainicjowała LSM! A z tych faktów, przyczynków, ceremoniałów, inspirowanych początkowo przez animatorów spółdzielni, wyłoniła się — bardzo szybko — organizacja samorządu. W Radzie LSM, jej komisjach, w komitetach obwodowych (pierwsze w kraju zyskały rangę blokowych) działa społecznie 540 osób. Ten aktyw zajmuje się dosłownie wszystkim: inwestycjami, eksploatacją mieszkań, sprawami wychowania i kultury, zdrowia i ochrony środowiska... Dzięki tym ludziom od lat udają się spółdzielni wielkie imprezy i przedsięwzięcia w rodzaju np. „obozowego" i „nieobozowego lata". Z tej pierwszej formy czynnego wypoczynku skorzystało w roku bieżącym 1243 chłopców i dziewcząt, z drugiej zaś — 6080 dzieci. Bez zachęty (i przykładu) samorządu mieszkańcy spółdzielni nie braliby zapewne tak masowego udziału w czynach społecznych na rzecz poszczególnych osiedli, jak to się obserwuje. Od dawna. Od początku istnienia LSM.

Adela Wójcik jest kobietą energiczną i doświadczoną: 15 lat pracy w spółdzielni zrobiło swoje. Ale zapewne, niewiele mogłaby zdziałać na tzw. niwie kulturalnej LSM — pracując li tylko o własnych siłach. Jej przecież niewątpliwą zasługą owo zręczne kaperowanie dziennikarzy, aktorów czy plastyków do udziału w osiedlowej działalności kulturalnej, co doprowadziło w końcu do uformowania wokół pierwszej placówki czegoś w rodzaju nieformalnego organu społecznych opiekunów i sympatyków. Ta placówka — toż to była suterena przy ul. Grażyny, nobilitowana do rangi klubu osiedlowego nazwą, ale także treścią realizowanego w jej ścianach programu, opartego przede wszystkim na zasadzie bezpośredniego

MIĘDZY ZJAZDAMI

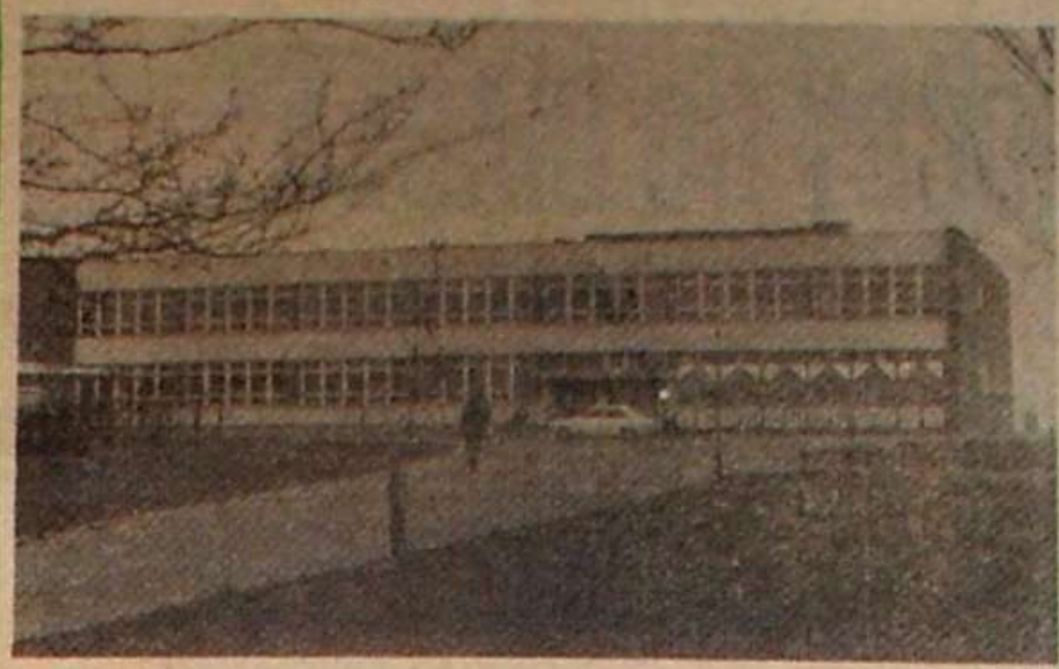

Fotografie LSM przedstawiały zazwyczaj osiedle mieszkaniowe, więc tym razem zamieszczamy coś innego: zdjęcie Osiedlowego Domu Kultury, oddanego do użytku w 1974 roku.

Fot. S. Ciechan

kontaktu z ludźmi tyle ciekawymi, co wybitnymi. W podobnych pomieszczeniach pracowały wówczas przeróżne koła zainteresowań i konsekwentnie ściągane na LSM oddziały czy filie stowarzyszeń społecznych, kulturalnych i sportowych. Od pierwszych lat istnienia spółdzielnia starała się zapewnić swoim członkom możliwość realizacji potrzeb kulturalnych i skłonności hobbystycznych. W 1974 roku, jako jedna z nielicznych w kraju, zafundowała sobie Osiedlowy Dom Kultury o kubaturze 1400 m sześciennych przez który dziennie przewija się od 600 do 1200 osób. W zespołach artystycznych ODK i grupach politechnicznych działa 860 młodych muzyków, wokalistów, plastyków, fotografików, modelarzy, sympatyków teatru lalkowego... Szczególnie tłoczno jest na zajęciach z rytmiki — ściany lustrzane, a jakże — co zapewne wiąże się z wyobrażeniami pokolenia rodziców tych ćwiczących maluchów o życiu eleganckim... W domu kultury jest także kino, Studium Dramaturgii Współczesnej (60 stałych miłośników) i dobra pamięć o aktualnym wicewojewodzie bialskopodlaskim Jerzym Cywoniuku, który jeszcze jako dyrektor wojewódzkiego Wydziału Kultury i Sztuki w Lublinie skierował na LSM pół miliona złotych — „na początek działalności w nowych warunkach".

Osiedlowym Domem Kultury kieruje Adela Wójcik. Na czele 20-osobowej Rady Programowej stoi red. Danuta Bieniaszkiewicz, która już w pionierskim okresie spółdzielni dała się poznać z jak najlepszej strony. Proszę zauważyć: ilu tu ludzi o kilkunastoletnim stażu pracy w różnych agendach LSM!

Edwarda Fijałkowskiego określono kiedyś jako „ideowego realistę", wskazując na właściwą prezesowi rzeczowość postępowania. Nie byłoby zapewne „występkiem semantycznym", gdyby tę nazwę przypisać całej Lubelskiej Spółdzielni Mieszkaniowej. Taki zabieg usprawiedliwia m. in. mariaż LSM z nauką, fakt także bez precedensów krajowych.

Już w pierwszej połowie lat sześćdziesiątych prof. dr Jan Turowski rozpoczął badania socjologiczne w osiedlu im. Mickiewicza. Podobną problematyką zajmował się również dr Adam Stanowski. Od kilku lat LSM jest przedmiotem uwagi Zakładu Andragogiki i Pedeutologii UMCS. Kierowany przez doc. dr Mieczysława Marczuka, zajmuje się teorią oświaty dorosłych i osobowością zawodową nauczycieli. Co wynika z owego związku spółdzielni mieszkaniowej z nauką? Przede wszystkim: pełniejsza, uporządkowana wiedza o osiedlowej zbiorowości i mechanizmach, które decydują o jej reakcjach, aktywności, samopoczuciu. Wiedza, która umożliwia konstruowanie metod praktycznego działania w środowisku.

W minionym roku LSM opracowała „Program działalności społeczno-wychowawczej w osiedlu im. Adama Mickiewicza na lata 1974-80". To jest właśnie jeden z najważniejszych efektów współpracy spółdzielni z nauką. Prezentowany na seminariach organizowanych przez CZSBM — np. w Poznaniu i Lublinie — które poświęcone były pracy społeczno-wychowawczej, został przyjęty nie tylko z uznaniem, ale stał się wzorcem dla innych spółdzielni krajowych. „Pracowaliśmy nad tym dokumentem cały rok, nieustannie konsultując się z mieszkańcami osiedla. Jest on zatem nie tylko rezultatem refleksji naukowej, ale również wyrazem potrzeb i oczekiwań społecznych. I w tym chyba tkwi jego najistotniejsza wartość" — informuje Elżbieta Załuska, energiczna i wyjątkowo rzeczowa kierowniczka Działu Społeczno-Wychowawczego LSM, wchodząca w skład zespołu autorskiego „Programu".

Najwiecej miejsca zajmuje w opracowaniu działalność kulturalno-oświatowa. Brak już jednak miejsca na przedstawienie treści — bardzo konkretnej, sensownej — tego rozdziału. Przy okazji warto przecież poinformować, że „Program" przewiduje wzniesienie w najbliższych latach kolejnych osiedlowych domów kultury, a także budowę dużego ośrodka sportowo-rekreacyjnego o powierzchni 14 ha, w którym znajdą się m. in. kryte i otwarte pływalnie, tor kolarski, boiska. Prace już rozpoczęto. Wypada też wspomnieć o planowanym ośrodku twórczości plastycznej, który do 1980 roku otrzyma 30 pracowni specjalistycznych, co jeszcze raz potwierdza dobre skłonności LSM do patronowania sztuce.

W osiedlach Lubelskiej Spółdzielni Mieszkaniowej żyją ludzie zwyczajni. Trzeba przypomnieć ten śmieszny banał, albowiem ktoś mógłby odczytać artykuł jako rzecz o aniołach. Tymczasem także w osiedlach spółdzielni zdarzają się wypadki niszczenia zieleni, urządzeń na placach zabaw, ławek. Bywają mordobicia. Jedna piąta, a nawet większy odsetek mieszkańców „Mickiewicza" nie angażuje się społecznie. Taka jest prawda. Najistotniejsze przecież, że w LSM funkcjonuje autentyczna opinia publiczna, która jednoznacznie potępia takie sytuacje i zachowanie. Opinia publiczna to znaczy opinia większości. Opinia publiczna to także, inaczej mówiąc, wspólnota wartości, podobny stosunek do zasad współżycia społecznego. Kształtowano tę wspólnotę od początku istnienia LSM, dorabiając się po drodze form sprzyjających jej rozwojowi. W pewnym momencie przestały one funkcjonować tylko jako formy, modele organizacyjne, stając się niejako naturalnym mechanizmem społecznej egzystencji. Można więc z czystym sumieniem powiedzieć, że Lubelska Spółdzielnia Mieszkaniowa uczciwie wzbogaca najlepsze tradycje polskiej spółdzielczości, wyznaczone m.in. działalnością Warszawskiej Spółdzielni Mieszkaniowej.

OGÓLNOLUDZKIE

Zygmunt Mikulski

zdobywać wszystko. To „wszystko" jest spodziewane w Warszawie.

Rzeczywiście, zaczynają się pierwsze publikacje. Ale jakimi wyrzeczeniami i wysiłkiem osiągnięte. Mieszkający (na Świętojańskiej) w jednym pokoju z murarzem, krawcem i szewcem, młody autor pisze... w katedrze Świętego Jana, wzbudzając podziw dewotek zachwyconych pobożnością młodego człowieka, który całe godziny trawi nad kartką papieru. Odbywają się pierwsze podróże zagraniczne, które następnie przybiorą taką częstotliwość, że trzeba by specjalnego kalendarium, by je wszystkie — do Włoch, do Wielkiej Brytanii, do Francji, do Stanów Zjednoczonych, na Litwę — wyliczyć. Oto później (1 X 1908 r.) Eliza Orzeszkowa w liście do Lucyny Kotarbińskiej napisze: *Kiedy bo widzisz tak, Duszuchno, jest z tym Reymontem, że zanim moja karta do Ciebie dojdzie z jego adresem — to on go już przez ten czas zdąży zmienić.* Następuje druk w „Myśli", w „Głosie" w „Prawdzie", w „Tygodniku Ilustrowanym".

Latem 1895 roku w Wolbórce przystąpił Reymont do pisania „Fermentów". Powieść początkowo nosiła tytuł „Nieznani" i zawarła doświadczenia autora zdobyte podczas jego szamotania się w obrębie wiejskich i miejskich zaścianków. Większy stopień autentyzmu miała zawierać tylko nigdy nie napisana, całkowicie autobiograficzna „Walka o życie". W roku 1896 z firmą Gebethner i Wolff została podpisana umowa na powieść, a w roku 1898 „Ziemia obiecana" była już gotowa. Pisał autor do Hoesicka: *Nigdy więcej nie pracowałem, zaczynam nawet odczuwać coś na kształt szacunku do samego siebie.* Do brata: *Mam 29 lat i stoję na progu sławy i powodzenia i potrzeba wytężyć wszystkie siły, aby stanąć niewzruszenie w literaturze, aby zająć w niej miejsce takie, jakie chcę zająć, tj. pierwszorzędne (...) W sztuce nie ma kompromisów, albo się jej oddasz i będzie Twoją, albo, połowicznie się nią zajmując, zostaje się jej niewolnikiem. Otóż ja chcę i zostanę jej panem, na niewolnika nie urodziłem się.* Czyżby nadmiar pewności siebie? Przesadna ocena własnego talentu? Byłaby szczególnie kontrastowa w zestawieniu ze sformułowaniem np. Żeromskiego, który mówił o „jakiej takiej wartości artystycznej swoich pisanin". Ale to nie zadufanie przemawiało przez Reymonta. To poczucie obowiązku twórcy i potrzeba wytężenia wszystkich sił dla maksymalnego skutku artystycznego. Kolosalny wydatek energii, jaki Reymont wkładał w pisarstwo nie tylko usprawiedliwiał podobne oświadczenia, ale jakże ujmujący ton szczerości wydobywał ze stosunku pisarza do formowanego przezeń tworzywa. Natężenie twórcze w opisie wesela Jagusi doprowadziło go do omdlenia. Kiedy sprowadzony lekarz z wyrzutem spytał: *Co pan najlepszego znów zrobił?*, rozpromieniony Reymont odrzekł: *Tańczyłem. Trzy dni tańczyłem na chłopskim weselu.*

„Chłopi" narodzili się z morderstwa autora na własnym dziele. Początkowo powieść miała objąć jeden tom i ten był w 1900 roku na ukończeniu, przeglądając go jednak przed oddaniem do druku, Reymont postanowił zmienić początek. Zmiana „początku" pociągnęła za sobą zniszczenie 11 000 wierszy, czyli prawie cały tom został napisany na nowo.

Do nagrody Nobla po raz pierwszy kandydował w roku 1918, ale dopiero w sześć lat później ponowiona kandydatura przeszła. Profesor Akademii Szwedziej i członek jury nagrody oświadczył: *Cieszymy się, że najwyższe odznaczenie literackie przyznano przedstawicielowi odrodzonej i wolnej Polski.* Kiedy Akademia wieńczyła Sienkiewicza, nie było jeszcze państwa polskiego. Tak tedy zarówno w latach poniżenia, jak i triumfu, Szwecja dała wyraz swej sympatii i uznania dla „utalentowanego narodu polskiego". Polska hołd Reymontowi złożyła wielkim zjazdem ludowym, który odbył się 15 sierpnia 1925 roku. Tegoż roku 5 grudnia o godzinie 2 minut 40 Reymont nie żył.

Kim jest, kim jednak nieśmiertelnie jest w literaturze polskiej? Kim — mimo przemiany barw na palecie polskiego pejzażu, z którego tyle do swego dzieła zaczerpnął? Otóż niezrównanym malarzem ojczystej ziemi, bogactwa jej urody, życiodajnej mocy i świeżości. Drzewem, które przyjąwszy soki z ojczystej gleby, dało owoc najwyższej jakości.

Niedługo Reymont cieszył się zaszczytami i korzyściami nagrody. Niedługo ponad rok. Jakby czym prędzej chciał ją przekazać komuś, kogo ukochał całą swą twórczością: ludowi, narodowi polskiemu.

OD HAMBURGA DO MONACHIUM (IV)

„UCZYĆ SIĘ CHOĆBY OD DIABŁA"...

Marek Adam Jaworski

PUNKTUALNIE o godzinie 11.06 międzynarodowy ekspress zatrzymuje się na stacji kolejowej w Muenster. Język niemiecki zmienia Warszawę w Warschau, z kolei język polski — Muenster w Monaster. Specjalnie prosiłem o uwzględnienie tego miasta w programie mojej wizyty: pragnąłem spotkać się z Hanną Terpiłowską, dziś T e r p i l o w s k ą, której wiersze „Kamena" już kilkakrotnie drukowała. Tej sprawie poświęcę nieco dalej więcej uwagi.

Monaster leży w zachodniej części RFN (Nadrenia Pn. — Westfalia) i liczy dziś, po przeprowadzonej na początku roku reformie administracyjnej, która włączyła w skład miasta kilka gmin, ok. 260 tysięcy mieszkańców, żyjących na obszarze ok. 300 kilometrów kwadratowych.

Interesująca jest jego historia. Około 800 roku Karol Wielki założył tu gród i ośrodek biskupstwa, który od katedry i klasztoru kanoników zaczęto nazywać Monasterium. Na początku XVI wieku zaczęła się w Monasterze szerzyć reformacja: luteranizm został oficjalnie uznany przez biskupa i kapitułę. Ale powstanie anabaptystów, które wybuchło w latach trzydziestych XVI wieku, krwawo stłumił biskup von Waldeck.

Monaster słynie również z tego, że tu, 24 października 1648 roku, podpisano pokój westfalski, kładący kres wojnie trzydziestoletniej.

Ostatnia wojna w poważnej mierze zniszczyła Monaster. W czasie nalotów ponad 60 proc. budynków legło w gruzach. Szczególnie ucierpiały zabytkowe dzielnice, m. in. i piękna romańsko-gotycka katedra.

Trzeba przyznać, że zrobiono tu wiele, aby przywrócić piękno Starego Miasta. Domy odbudowano według dawnych wzorów, odremontowano te, które ocalały. Teraz, w Roku Ochrony Zabytków, na wielu budowlach pojawiły się tabliczki informacyjne, mówiące o poszczególnych zabytkach. Na ten cel zebrano w postaci składek 15 tysięcy marek, tyleż samo wyasygnowało miasto.

Po Starym Mieście oprowadza mnie Herr Henkel, będący dyrektorem Verkehrsamt. W dosłownym tłumaczeniu brzmi to: Urząd Ruchu. Ale to nie jest taki „Ruch", który kolportuje, jak u nas, prasę, ani też taki, który zajmuje się ruchem pojazdów. Urząd Ruchu można przyrównać raczej do jednego z naszych przedsiębiorstw t u r y s t y c z n y c h. Chodzi więc o kierowanie r u c h e m p o d r ó ż n y c h, o stworzenie im najlepszych możliwości zwiedzania miasta.

Herr Henkel nie żałuje czasu, obszernie tłumaczy, objaśnia, oprowadza po odbudowanym Ratuszu, (jest tu sala, w której podpisano pokój westfalski!), pomaga w skontaktowaniu się z dyrekcją teatru.

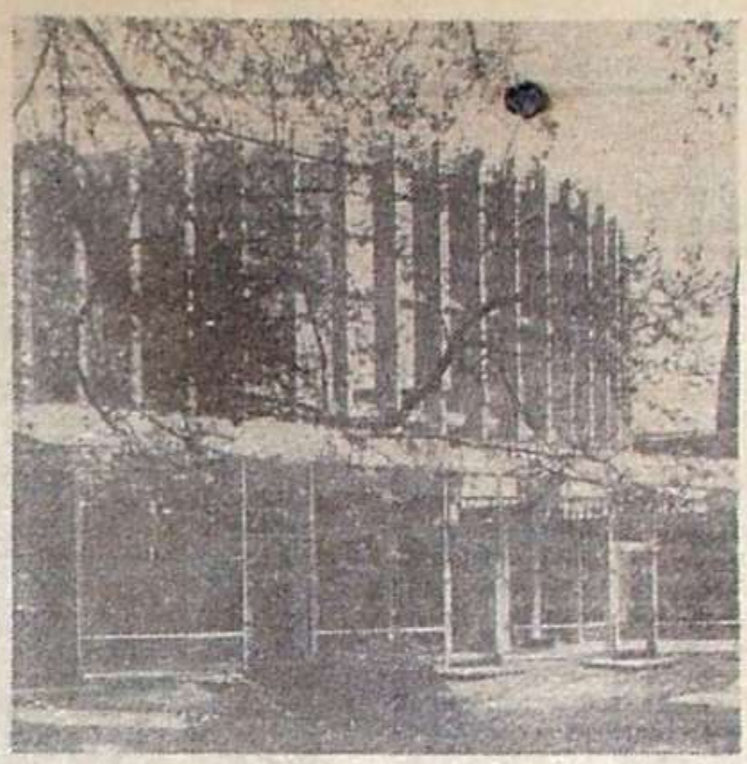

Budynek teatru jest nowy, powstał na gruzach zabytkowej budowli, nie pamiętam już jakiej której fragment pieczołowicie zachowano. Oryginalnie to wygląda, kiedy na wysokim tarasie widzi się, jakby w ten taras wrośnięte, stare mury.

Dr Frieder Lorenz, dyrektor teatru, zapoznaje mnie ze strukturą swej instytucji. Teatr to właściwie cały kombinat: jest tu zespół aktorski (26 panów i 18 pań), opera, operetka. Występy odbywają się na dwóch scenach. Jedna sala może pomieścić ok. 1000 widzów, druga — od 150 do 400 (ściany są ruchome). Frekwencja wynosi ok. 70 proc. w pierwszej i ok. 78 proc. — w drugiej. Zespoły występują również w terenie.

Ceny biletów wstępu są bardzo zróżnicowane. Przy gościnnych występach wybitnego aktora z innego teatru wynoszą od 5,5 marki do 19 marek (parter, rzędy od pierwszego do jedenastego). Ceny biletów do opery i operetki kształtują się w granicach 4-16 marek, do teatru — 2,5-12,5 marki, do teatru dziecięcego — 2-7 marek.

Dyrekcja bardzo się jednak stara o widzów stałych, na których zawsze może liczyć. Stąd upowszechnianie znacznie tańszych abonamentów. Abonament na dwanaście przedstawień (płatny w trzech ratach), kosztuje, zależnie od miejsca, od 64 do 143 marek. Dziesięć przedstawień widz m u s i jednak obejrzeć w czasie wyznaczonym przez dyrekcję (z góry wiadomo, jaki to będzie dzień), ona też dokonuje wyboru samych spektakli. Jedynie dwa spektakle (i dni, w których chce je obejrzeć) widz ma prawo s a m wybrać. W skład tych dziesięciu przedstawień wchodzą: cztery teatralne, cztery operowe, jedno operetkowe i jeden musical.

I jeszcze ciekawostka: posiadacz abonamentu na dwanaście przedstawień może również przyjść na jedną próbę generalną.

Specjalne zniżki ma młodzież. Za obejrzenie ośmiu sztuk młody widz płaci 36 marek. Fakt, że w tym roku rozprowadzono 4200 ulgowych abonamentów dla młodzieży, o 700 więcej niż w roku ubiegłym, specjalnie cieszy dyrekcję. Właśnie w młodzieży widzi ona, i słusznie, dzisiejszych i jutrzejszych przyjaciół teatru.

Z ciekawością oglądam starannie przygotowane programy. Ale szczególne zainteresowanie budzi u mnie plan występów w ciągu całego sezonu z dokładną datą poszczególnych premier. Prospekt, w którym ten plan figuruje, zawiera też zdjęcia nowo pozyskanych aktorów, zdjęcia reżyserów, zaproszonych do opracowania danej sztuki, a także charakterystyki tych sztuk.

W bieżącym sezonie, a jest to sezon szczególny, gdyż łączy się z 200-leciem założenia pierwszego teatru w mieście, będzie tu można obejrzeć m. in. (wymieniam jednym tchem operę, operetkę i teatr): „Madame Butterfly" Pucciniego, „Opowieści Hoffmana" Offenbacha, „Wiedeńską krew" Straussa, „Carewicza" Lehara, „Futro bobrowe" Hautmanna, „Wiśniowy sad" Czechowa. Będą to nie tylko spektakle obecnie przygotowywane ale i w z n o w i e n i a.

Piękno i wzruszenia

Alicja Marczak-Faberowa

Fot. Z. Nasierowska

NA SCENIE Państwowej Filharmonii Lubelskiej wystąpiła niedawno Alicja Marczak-Faberowa, jedna z najbardziej interesujących polskich śpiewaczek. Artystka wykonała trzy pieśni kurpiowskie Karola Szymanowskiego oraz dwie pieśni Kazimierza Wiłkomirskiego — „Wokaliza" i „Wołanie moje". Lubelska publiczność przyjęła występ owacyjnie.

— Sukces pani jest tym większy, że wystąpiła pani w repertuarze trudnym w percepcji, właściwie mało znanym. Skąd zdaniem pani wynikają trudności w przyjmowaniu muzyki nowej, ostatnich 50-ciu lat?

— Trudności z nowością były zawsze, za czasów Beethovena i za czasów Wagnera. Myślę jednak, że przy dzisiejszym dniu powszednim, tak zaoieganym, zapracowanym chciałoby się właśnie tu, w sali Filharmonii odetchnąć czymś nowym, zetknąć się z innym rodzajem emocji. Cóż, może tu właśnie szukamy piękna i wzruszeń. A w muzyce współczesnej nie wszystko i nie od razu staje się czytelne, nie wszystko przemawia do wyobraźni.

— Czy zdaniem pani istnieją jakieś wokalne środki wyrazu, które nie zostały jeszcze przez kompozytorów wykorzystane?

— Nie chciałabym, by się coś w sprawach głosu zmieniło! Śpiewam dużo klasyki współczesnej — Prokofiewa, Strawińskiego, Szostakowicza, Bartoka — ale tam wszędzie chodzi o głos, jego barwę i ekspresję. Awangardy nie śpiewam.

— W pani rożnorodnym i dużym repertuarze znajdują się między innymi partie operowe. Jakie są pani związki z tym rodzajem muzyki?

— W 1960 roku brałam udział w konkursie śpiewaczym w Katowicach, na którym zostałam „zauważona". Wynikiem tego był mój engagement do Opery Śląskiej w Bytomiu. Przez sześć lat pracy w operze wystąpiłam m. in. w „Carmen", „Strasznym Dworze", „Mocy przeznaczenia", „Fauście", „Madame Butterfly". Ale gdy przyszło rozstrzygnąć, co wybrać: operę czy estradę, wybrałam to drugie.

— Jakie warunki pani zdaniem powinna spełniać śpiewaczka operowa?

— Takie same jak śpiewaczka estradowa, a więc mieć dobry głos i aparycję.

— Zawsze z przyjemnością słucham pani śpiewu w utworach z towarzyszeniem orkiestry... Ma pani szczególną, wręcz rzadko spotykaną, umiejętność instrumentalnego prowadzenia głosu.

— Po prostu bardzo lubię właśnie tę formę muzykowania. Dlaczego? To trudno sprecyzować. Na pewno bogactwo kolorystyczne, na pewno pełnia brzmienia wewnętrznie zróżnicowana, z pewnością kontakt z innymi muzykami.

— Jak wygląda pani praca nad nowym repertuarem?

— Przede wszystkim staram się ogarnąć utwór całościowo. Potem utwór ten we mnie dojrzewa, żyję nim, śpiewam go sobie, ciągle coś odkrywam na nowo, wreszcie szlifuję pod względem technicznym. Lubię okresy pracy nad czymś nowym, żyję wtedy jakoś inaczej, pełniej, czuję, że coś się we mnie dzieje. Jestem przeciwna rozumowej koncepcji dzieła, to odbiera mi radość tworzenia klimatu muzyki. Może to zabrzmi zbyt mocno, ale chcę świeżości ekspresji.

— Ostatnio wiele pani nagrała dla Polskiego Radia. Artyści często narzekają na niesprzyjający „klimat" podczas nagrań, t.zw. sztuczna trema i mobilizacja. Czy u pani dzieje się coś podobnego?

— Nagranie i koncert to dwie różne sprawy. Interpretacja na żywo, przy publiczności, jest być może bardziej szczera, nie mniej przy nagraniu większa jest precyzja. Wszelkie retusze ponagraniowe są dla mnie bardzo przykre

— Niedawno koncertowała pani w RFN, Szwecji i na Festiwalu Chopinowskim w Mariańskich Łaźniach. Jakie są pani nowe plany?

— W sezonie będę śpiewać cykl pieśni „Letnie noce" opus 7 Berlioza oraz cykl pieśni Szostakowicza. Wezmę także udział w Festiwalu organowym w Koszalinie. O dalszych planach wolałabym na razie nie mówić, niech dojrzewają!

Rozmawiała
Teresa Falger

BUŁGARSKIE WODY (II)

Z SOFII do Burgas przylecieliśmy — grupka polskich dziennikarzy — samolotem, chociaż odległość nie jest imponująca: wszystkiego 330 kilometrów. Poczciwy „An" jest wypełniony do ostatniego miejsca, widocznie Bułgarzy cenią czas bardziej niż pieniądze. Nam zapewne chcą zrobić przyjemność wiedząc, że takiej trasy w Polsce nie mamy. Lecimy cały czas nad górami, a ponieważ chmur prawie wcale nie ma, widać doskonale wszystkie szczyty i przełęcze, lasy i zamierające już winnice, drogi i strumienie.

Chociaż jesteśmy gośćmi Bułgarskiego Stowarzyszenia Dziennikarzy, pilot też jakby zamienia się w dbającego o cudzoziemców gospodarza i gdzieś w połowie drogi kładzie samolot na lewe skrzydło. Wkrótce widzimy olbrzymie jezioro, zamknięte potężną zaporą — „jazobirem" im. Georgi Dimitrowa. A zaraz potem średniej wielkości miasteczko, którego nazwę powinny pamiętać wszystkie lubujące się w zapachach kobiety. Kazanłyk bowiem jest centrum słynnego w świecie regionu hodowli róż. To zyskowny towar eksportowy nic więc dziwnego, że nabycie w bułgarskich sklepach olejku różanego czy konfitury z róż przynajmniej w tym roku nie było łatwe.

Potem znowu mocny wiraż w prawo, na południe, i u podnóża pasma gór, zwanych przez Bułgarów Antybałkanem, połyskują dachy i kominy Starej Zagory. Ta starożytna osada tracka, potem rzymska i bizantyjska, w średniowieczu turecka, w czasach nam współczesnych była jednym z głównych ośrodków odrodzenia narodowego Bułgarii. O tym dowiedzieliśmy się już w sofijskim Muzeum Rewolucji. Teraz, widać tylko usychające łodygi słoneczników i zaczynające już żółknąć liście winorośli — okręg Starej Zagory przoduje w uprawie obu tych roślin.

W Burgas dostajemy pokoje w hotelu, z którego dwa kroki do morza. Nasz przewodnik i tłumacz zaleca nam wypoczynek, ale my, nawet nie otwierając walizek pędzimy nad morze. Zaczyna się druga połowa października, w kraju podobno zimno i deszczowo, a tu niemal upalnie. Ludzie kąpią się i opalają w najlepsze, chociaż tzw. sezon dawno już się skończył. Kto chce rzeczywiście odpoczywać, a nie tylko pokazywać tłumom ciało i stroje, powinien przyjeżdżać tutaj właśnie w październiku. Tłoku nigdzie nie ma, oprócz wspaniale pachnących i arcysmacznych jabłek i gruszek są jeszcze niezwykle słodkie winogrona. I frajda niezwykła: po raz pierwszy w życiu jem świeże figi. Są wielkości naszych orzechów włoskich w zielonych łupinkach, miękkie, soczyste, jakby z aromatycznego puchu, fioletowe i prawie amarantowe. Sadów figowych jednak nie ma, bo drzewa są kapryśne i gdy tylko lato jest mniej słoneczne lub krótsze, owoce nie dojrzewają.

Encyklopedia PWN podaje, że Burgas liczy 73 tys. mieszkańców. W czasie rozmowy w redakcji miejscowego dziennika „Czarnomorski front" popisuję się tą wiadomością, dodając do... 100 tys. Redaktor naczelny Jeliazko Klossew, widać urażony w lokalnym patriotyźmie, aż się zakrztusił winem ale dodał łagodnie: sto sześćdziesiąt tysięcy, kochany, sto sześćdziesiąt..

Łagodzę moich mówców stwierdzeniem, że Burgas to największy port ich kraju, do którego zawijają statki z całego świata. Od wielu lat istniało w tym względzie ciche współzawodnictwo z Warną, posiadającą prawie

Oczywiście teatr, tak jak i w Hamburgu, nie jest samowystarczalny. Dotacje otrzymuje od miasta i (znacznie mniejsze) — od rządu krajowego.

Jestem gościem. Słucham i notuję. Kiedyś „Polityka" prowadziła akcję „Uczyć się choćby od diabła". Wydaje mi się, że nasz, lubelski teatr mógłby z pewnych doświadczeń teatru w Monasterze skorzystać. Chociaż... Niech dyrekcja spróbuje naznaczyć komuś konkretny dzień tygodnia, w którym ma obowiązek skorzystać z abonamentu! My, Polacy, jesteśmy indywidualistami, co nie zawsze jednak trzeba uważać za plus...

Ale dość już o teatrze (Maria Bechczyc-Rudnicka gotowa pomyśleć, że zrywam owoce z jej ogródka). Wracam do Hanny Terpilowskiej, o której wspomniałem na początku.

Było to bodaj w 1967 roku. Otrzymałem wówczas plik wierszy z Warszawy, które mnie zainteresowały. Terpilowska zadebiutowała w „Kamenie". Z listu dowiedziałem się, że jest „dzieckiem wojny", nie wie, kim byli jej rodzice. Ostatecznie, po wielu poszukiwaniach, okazało się, że z pochodzenia jest Niemką, że jej rodzina, wprawdzie nie najbliższa, żyje w RFN. Władze polskie wyraziły zgodę na wyjazd.

Ku swemu zdziwieniu otrzymałem list z RFN. List z wierszami, pisanymi po polsku! Dwa z nich, w różnych odstępach czasu, ukazały się na łamach „Kameny".

Ale od wierszy bodaj ciekawsze były listy. 22 sierpnia 1972 r. Terpilowska pisała:

Czuję się tu bardzo obco i samotnie. Chwilami wydaje mi się, że żyję na pustyni pełnej ludzi, a jednak bezludnej. Nie zrozumiem Niemców nigdy i oni nie zrozumieją mnie, ale cóż robić. Mój związek z Polską w dalszym ciągu jest mocny. Utrzymuję z wieloma osobami, przyjaciółmi kontakty listowne. Niektórzy z moich znajomych odpadli, ale garstka tych najwierniejszych pozostała i ich stosunek ani odrobinę nie zmienił się, co jest dla mnie bardzo budujące. Otrzymuję płyty, czasopisma i książki i tak żyję w tym przeludnionym i jakże dla mnie obcym kraju, jakby na maleńkiej wyspie, z własnymi myślami, własnymi poglądami i marzeniami.

Ja wyrosłam w innym świecie, w innym ustroju, wśród ludzi o innych zapatrywaniach, więc trudno mi było w ciągu jednego tygodnia czy miesiąca zaakceptować to wszystko, co było dla mnie nowe i może niezrozumiałe

A przecież pracę mam dobrą i mogę podziękować przypadkowi, czy też losowi, że tak dobrze trafiłam. Pracuję jako Locherin; pracuję na elektronowej maszynie do pisania w połączeniu z małą maszyną liczbową i to, co piszę, jest jednocześnie dziurkowane na taśmie papierowej, tzw. elektronowe opracowanie danych. Owe taśmy idą następnie do mózgów elektronowych.

Moja praca jest bardzo monotonna i można powiedzieć otumaniająca, ale zarabiam stosunkowo nieźle. Z czasem, gdy nabiorę 100-procentowej pewności języka, zrobię kurs stenografii i będę pracować dalej w moim zawodzie, jako stenotypistka.

Tak by po krótce przedstawiała się moja historia. Szara codzienność niemiecka staje się chwilami nie do zniesienia, ale trzeba się z nią toczyć, by zupełnie nie stracić gruntu pod nogami.

Przed wyjazdem do RFN napisałem do Terpilowskiej, podając przypuszczalny, choć niezupełnie dokładny, termin wizyty w Monasterze. Potem, w czasie pobytu w Hamburgu, wysłałem kartkę pocztową ze szczegółami.

I oto jestem w Monasterze, popołudnie mam wolne. Aby nie kluczyć, a mieszka ona w dzielnicy podmiejskiej, wsiadam do taksówki. Kierowca sam nie bardzo wie, jak trafić pod podany adres, trochę błądzi, ale ostatecznie dowozi mnie na miejsce.

Blok mieszkalny jest nowy. Drzwi do klatki schodowej — zamknięte. Na ścianie spis lokatorów i guziki do dzwonienia. Naciskam ten pod nazwiskiem Terpilowska — nikt się nie zgłasza. Ktoś otwiera drzwi wejściowe, korzystam i wchodzę do wnętrza. Widzę, że moja kartka z Hamburga leży w skrytce pocztowej. Sądzę, że przyszła dzień później i Terpilowska jej nie przeczytała. Dorzucam więc nową kartkę, podaję hotel, w którym przebywam i proszę o spotkanie.

Do spotkania jednak nie doszło. Terpilowska nie przyszła. Po powrocie do Polski czekał na mnie list ze słowami:

Muenster 15.9.1975 r. (a więc pisany dwa dni przed moim przyjazdem do tego miasta). *Szanowny Panie Jaworski! Serdecznie dziękuję za pamięć. Czekałam już na kilka słów. Nie podaje Pan jednak dokładnego terminu swego przyjazdu do Niemiec, co z pewnością nie było jeszcze ustalone. Najprędziej można mnie zastać w domu w niedzielę, gdyż w tygodniu przygotowuję się intensywnie do egzaminu na tłumacza z języka polskiego, rosyjskiego oraz niemieckiego. Zasyłam moc pozdrowień...*

Okazuje się więc, że po prostu miałem pecha. Bardzo żałowałem i żałuję, bo sądzę, że byłoby o czym porozmawiać. Ale z drugiej strony ostatnia kartka wskazuje, że Terpilowska postanowiła wziąć się za bary z szarą *codziennością niemiecką*, która *staje się chwilami nie od zniesienia* i wzięła się do solidnej nauki. Nie wiem, czy będzie w dalszym ciągu pisała wiersze w języku polskim. A może zacznie tłumaczyć utwory polskich pisarzy na język niemiecki? W RFN wydaje się stosunkowo dużo przekładów z naszej literatury. Oczywiście można dyskutować nad tym, co tam się ukazuje, czy czytelnik zachodnioniemiecki rzeczywiście otrzymuje do rąk najcelniejsze pozycje. Ale to jest sprawa osobna.

MIĘDZY ZJAZDAMI

Przed wojną prawie co czwarty dorosły mieszkaniec Lubelszczyzny był analfabeta. Po wojnie wyższe uczelnie Lublina wraz z filiami po obu stronach Wisły dały krajowi wiele tysięcy ludzi z wyższym wykształceniem, obecnie jest prawie 38 tysięcy studentów. Oprócz funkcji dydaktycznych, uczelnie wtaczyły się już do wszystkich dziedzin naszego życia poprzez swoje opracowania naukowe, doświadczenia, patenty. Dzielnica uniwersytecka w Lublinie to obok osiedli LSM najpiękniejsza część współczesnego nam miasta. Oto jeden z oddanych ostatnio do użytku obiektów — gmach fizyki UMCS.

Fot. J. Trembecki

W BURGAS I GDZIE INDZIEJ

Jerzy Dostatni

dwa razy więcej mieszkańców, ale leżącą dalej od Bosforu. Zresztą w Warnie powiedzą mi później, że to oni przodują, licząc razem ze stoczniami i portem rybackim...

Ze zdziwieniem natomiast dowiaduję się, że okręg (województwo) burgaski to jeden z najbardziej uprzemysłowionych rejonów Bułgarii. Produkuje się tu wagony kolejowe, okręty, kable, konserwy rybne, warzywne i owocowe, cukier, oleje roślinne, wina i wódki, materiały bawełniane i konopne, wydobywa się i przetapia w hucie rudę miedzi, tu znajduje się czarnomorskie zagłębie węgla brunatnego, wreszcie wielka rafineria ropy naftowej, o której pisałem w poprzednim odcinku. Na szerokich plażach od położonego na południe Primorska do Nesebaru na północy nie widzi się i nie wącha żadnych nieprzyjemnych dymów, pyłów czy zapachów, a wszystko to dzięki licznie instalowanym oczyszczalniom, elektrofiltrom i innym urządzeniom, idącym w sukurs przyrodzie i człowiekowi. Bo lepiej wydać na ten cel rocznie kilkadziesiąt milionów lewa, niż w tym samym czasie stracić setki milionów wskutek ucieczki turystów.

Wyjaśnia się też widziana z samolotu sieć kwadratowych i prostokątnych tafli wody. Wyglądało to na wielkie stawy hodowli ryb, a okazało się — warzelniami soli. Sposób może nieco archaiczny, ale co zrobić, gdy ziemia poskąpiła Bułgarii tego minerału, a woda morska ma go dosyć? Zresztą przyszła temu w sukurs sama przyroda, tworząc nie tylko głęboką Zatokę Burgaską, ale także liczne wzdłuż niej zalewiska. Teraz robi się także sztuczne. Znaczna część wody wyparowuje w sposób naturalny, reszty dokonuje się gotowaniem w warzelniach.

Z kilku naturalnych zalewisk powstały z czasem słone jeziora, dziś wspaniałe solanki, wykorzystywane dla celów leczniczych. Ostatnio jedno z tych jezior przekopem połączono znów z morzem, budując wewnątrz port dla tankowców. Pozwala to natychmiast wykryć każdego niechluja, zanieczyszczającego wodę. Zresztą na samym Morzu Czarnym też się trzeba pilnować. Krąży tam bowiem stale śmigłowiec MI-2 (nota bene ze Świdnika) i natychmiast alarmuje kogo trzeba, gdy ktoś wyrzuca odpadki do morza. Własny to statek czy obcy, musi zapłacić wysoką grzywnę, by się oduczył zatruwania środowiska.

Z Burgas do Warny znów lecimy samolotem, mimo że — licząc dojazdy na lotniska — samochodem byłoby prędzej. Okazuje się jednak, że to sprawka naszego przewodnika. Marko bowiem męczy się dłuższą jazdą samochodem. Nie ma jeszcze czterdziestu lat, ale chorował bardzo poważnie na serce i w Paryżu wstawiono mu sztuczną zastawkę, a całe koszty leczenia (25 tysięcy franków) zapłacił rząd bułgarski. Z zawodu Marko jest inżynierem geologiem i po zdobyciu dyplomu praktykował w Polsce. W Zakopanem poznał swoją obecną żonę, Polkę, co — jak zwierzył się w tajemnicy — uważa za duże szczęście. Żona pracuje w biurze radcy handlowego ambasady polskiej w Sofii, Marko zaś jest na rencie, dorabiając jako tłumacz polskich wycieczek. Mario, ich sześcioletni syn, także mówi biegle obu językami i z zapałem gromadzi polskie znaczki pamiątkowe, odznaki, plakietki i proporczyki.

Oba bloki Międzynarodowego Domu Dziennikarza w Złotych Piaskach zapełnione niemal do ostatniego miejsca. Teraz jest czas na wczasy rodzinne, więc wśród ponad 70 rodaków oprócz dziennikarzy można spotkać różne zawody, pani prokurator nie wyłączając. Znów przez dwa dni jest słońce, plaża, niebieskie — nie czarne — morze. Ponieważ kończy się turnus, wszyscy — nie wyłączając naszej grupki — uganiają się za salami. Takim prawdziwym, z mięsa osłów. Ale tych zwierząt jest coraz mniej i jeżeli przeznacza się je na rzeź, to tylko bardzo stare sztuki. Więc dzisiaj salami — podobnie na Węgrzech, w Rumunii i we Włoszech — robi się z mieszanki wieprzowo-wołowej, a oślego mięsa dodaje się w proporcji jeden koń — jeden zając. Więc Bułgarzy zachwycają się tą wędliną znacznie mniej od nas.

Jeszcze wycieczka do uroczego Balciku, gdzie nie wiadomo co bardziej podziwiać: zamek dawnych carów bułgarskich na wysokiej skarpie nad morzem i legendę o zakochanej w pasterzu księżniczce, czy też średniowieczne kamieniczki, zawsze szersze na pierwszym piętrze niż na parterze, z przewodami kominowymi, budowanymi na zewnątrz. Nie tylko sam styl utrzymuje się do dzisiaj, ale i materiał budowlany ten sam: mur pruski, gęsto przetykany drewnem, nawet podpórki pierwszego piętra drewniane, pięknie rzeźbione i raczej dekoracyjne niż użyteczne. Większość uliczek zamknięta dla ruchu samochodowego. W pałacowym parku, tuż za wejściem po lewej stronie, słynna kolekcja kaktusów. Wiele z nich właśnie kwitnie, ale by te kwiaty zobaczyć trzeba nieraz długo poczekać, jako że są oblegane przez tłumy kontemplujących je amatorów.

Powrót do Sofii znów samolotem, tym razem dużym Ił-em, a następnego dnia wycieczka na Witoszę. To długi masyw górski, ograniczający od południa Dolinę Sofijską, którego najwyższy szczyt, Czerniwrych, sięga 2290 m. Jest niedziela, a na szosie nie widać samochodów, natomiast co kilka minut mijamy pędzące w obie strony autokary. Witosza, egzystująca na prawach parku narodowego, jeszcze przed kilku laty przeżywała inwazję motoryzacyjną. Zmotoryzowani turyści stawali gdzie popadło, rozbijali namioty, palili ogniska, wyrzucali odpadki. Potem na cały ten obszar zakazano wjazdu samochodom prywatnym, do połowy zbocza mogą dojeżdżać tylko autobusy komunikacji miejskiej i ściśle określone autokary. Jest więc czysto na ziemi i w powietrzu.

Tu napada mnie smętna nieco refleksja, gdy w myśli porównuję to ze stanem, jaki mamy w Zemborzycach. I wyobrażam sobie szum, jaki wywołałby u nas zakaz wjazdu samochodów nad zalew zemborzycki...

No tak, w przyszłej pięciolatce Bułgaria na ochronę środowiska naturalnego wyda olbrzymią sumę pół miliarda lewa, co w oficjalnym przeliczeniu wynosi blisko dziesięć miliardów złotych — dla kraju prawie trzy razy mniejszego. I chyba bardziej od nas zdyscyplinowani Bułgarzy nie zamierzają umniejszać tej sumy nierozsądnym postępowaniem. Co więcej — zrewindykują sobie te wydatki szybko na turystach zagranicznych.

kultura 1975

DEBIUTY

● Prawie dwadzieścia pięć lat temu Roman Kłosowski debiutował z powodzeniem jako aktor i do dziś chętnie go oglądamy na scenie lub ekranie telewizyjnym. Przed kilku laty zadebiutował jako reżyser, ostatnio zaś jako dyrektor Teatru Powszechnego w Łodzi. Jak twierdzi w nowej roli, „współczesnemu tematowi towarzyszyć powinna również współczesna forma teatru". Na początek zyskał to, że kierowana przez niego placówka otrzymała drugą scenę w tzw. pałacu Poznańskim.

● 48-letnia Juliette Greco od pięciu lat nie występowała w Paryżu, gdzie jedni uważali ją za znakomitą piosenkarkę, inni odmawiali zarówno talentu jak i inteligencji. Teraz znów „zadebiutowała" w stolicy Francji, ale występ nie przyniósł jej zbytniego sukcesu, może dlatego, że śpiewała stare piosenki. Przypomnijmy jeszcze, że to ona grała główną rolę w znanym i u nas serialu „Belfegor czyli upiór Luwru".

● Sydney Rome, z pochodzenia Angielka, niedawno zadebiutowała jako piosenkarka, teraz zaś debiutuje w Rzymie jako aktorka filmowa w „Casanovie" Felliniego, a w Hollywood równocześnie w drugim filmie reżyserii Chabrola. Opinia obu reżyserów: ładna buzia, talent dramatyczny, zgrabna sylwetka, piękne nogi, przyjemny głos. Czy trzeba coś więcej jako zadatek na dużą karierę?

● U mężczyzn jednak ceni się co innego. Francuski aktor, Jacques Francois, występował dotychczas wyłącznie w telewizji. Ostatnio zadebiutował na scenie teatru w prapremierze sztuki Anouhila „Aresztowanie". Ma lat prawie 50, twarz pełną bruzd, łysieje, oczy bardzo wypukłe. Mimo to zagrał znakomicie, a według prasy francuskiej wkrótce stanie się jednym z wielkich aktorów na miarę światową.

DWIE STOLICE

● Historia Warszawy rozpoczyna się w roku 1262, kiedy to w źródłach pisanych pojawiła się nazwa grodu w Jazdowie, położonego na terenie dzisiejszego Starego Miasta. Tymczasem ostatnie wykopaliska na terenie Starego Brodna wskazują, że tam gród istniał już w IX wieku, a więc jakieś czterysta lat wcześniej. Położony nad rzeczką Skurcza, gród posiadał podgrodzie, a w sąsiedztwie kilka osad, utrzymujących ożywiony handel z osiedlami w gęstych lasach, a właściwie puszczy nad Wisłą. Przestał istnieć w wieku XI, spalony — prawdopodobnie w wyniku najazdu jakichś wrogów. Ponieważ zostało po nim wiele z wałów obronnych, domów mieszkalnych i budynków gospodarskich, archeologowie chcieliby z tego zrobić drugi Biskupin, a jeżeli nie będzie to możliwe, to chociażby skansen.

● Na Wawelu zaś zaprezentowano ekspozycję, ilustrującą budowle, które dotychczas gdzieś się „zagubiły" a istniały z całą pewnością: przedromańską rotundę, mury z czasów Konrada Mazowieckiego, dawną wozownię i kuchnię królewską, różne kapitele, portale, pilastry i inne fragmenty. Odnaleziono w czasie poszukiwań archeologicznych, prowadzonych od kilku lat na wzgórzu zamkowym „zaginiony Wawel".

JUBILEUSZE

● Te dwie liczby — 150 i 10 oznaczają dwa jubileusze naszej narodowej sceny muzycznej — Teatru Wielkiego w Warszawie. Dokładnie 19 listopada 1825 roku położono kamień węgielny pod gmach, zbudowany według projektu czołowego architekta epoki, związanego z Polską Włocha — Antonia Corazziego. Był to jeden z najpiękniejszych wówczas budynków tego typu na świecie, ale został niemal kompletnie zniszczony w czasie ostatniej wojny — ocalała tylko fasada. Również 19 listopada, ale już w 1966 roku, odbudowany budynek znów zaczął „służyć narodowej sprawie i sztuce" — jak głosi napis na wmurowanej w hallu marmurowej tablicy. Była to największa inwestycja kulturalna PRL. Ale nie tylko o ekonomiczną i budowlaną stronę tu chodzi. Mimo początkowych obaw okazało się, że dwutysięczna widownia zawsze jest pełna, a na bilety trzeba czekać tygodniami — fenomen w skali światowej. W ciągu dziesięciu lat spektakle obejrzało 5 milionów widzów dosłownie z całego kraju, a także wiele tysięcy cudzoziemców. W repertuarze trzydzieści pozycji operowych i baletowych kompozytorów polskich, w tym prapremiery światowe „Chłopów" Rudzińskiego, „Jutro" Bairda czy „Pożądanie" Bacewiczówny.

● Natomiast 4 stycznia przyszłego roku rozpocznie się także jubileuszowy, osiemdziesiąty sezon Filharmonii Czeskiej. Jej początek to koncert nowego zespołu orkiestralnego, którym dyrygował Antoni Dworak, kompozytor wielu symfonii, serenad i słynnego „Requiem". Jemu też będzie poświęconych kilka pierwszych koncertów w przyszłym roku, a kilka następnych Bachowi. W roku jubileuszowym filharmonia odwiedzi wiele miast w swoim kraju, a także wyjedzie z koncertami do Wielkiej Brytanii, Austrii, RFN i na Węgry.

NIEDYSKRECJE

● Słynny „Reportaż spod szubienicy" Juliusza Fucika został już przetłumaczony na 83 języki. Ale tytuł nie zawsze odpowiada oryginałowi. Jeżeli tłumaczyć dosłownie, to w języku estońskim brzmi on „Ostatnia książka", po arabsku „Pod belką szubienicy", po węgiersku „Poselstwo żywym", a w innych jeszcze „Szubienica łożem weselnym", „Ofiara krwi" i „Krwawe litery".

● Pięciu młodych poetów w Bydgoszczy, mając pretensje do prasy za zbyt rzadkie drukowanie ich wierszy, propaguje się dość oryginalnie. Dużą czcionką i ręcznie drukują swoje wiersze na wielkich arkuszach papieru, które rozklejają na parkanach lub na szybach remontowanych sklepów. Przechodnie czytają, a krytycy nie wypowiadają się o wartości tak propagowanej poezji.

● Tennessee Williams („Tramwaj zwany pożądaniem", „Szklana menażeria" i inne) wydał pamiętniki, w których przyznaje że: 1) od 33 lat jest homoseksualistą, 2) większość swych książek napisał używając zastrzyków dopingujących, 3) „zbiornicą materiału" dla niego jest podświadomość.

● Na wiosnę w Praskim Teatrze Narodowym odbędzie się prapremiera opery, której tematem jest zatonięcie okrętu „Titanic". Libretto napisał Jirzi Schwarz, muzykę Rudolf Macudziński. Dekoracje mają imitować rzeczywiste zatonięcie.

● Nowa ustawa podatkowa we Francji szczególnie obciąża kina, wyświetlające filmy porno. W odpowiedzi 150 reżyserów i aktorów ogłosiło protest, w którym czytamy m. in.: „Nigdy tak nie zlekceważono intelektualistów i opinii publicznej".

OPINIE

● Psychiatria z reguły kojarzy się nam z chorobami psychicznymi. Każdy z nas zna przynajmniej trzy tzw. dowcipy na temat ludzi chorych psychicznie. Jakże zawężony to kąt widzenia! Wybitny psychiatra polski, prof. Kazimierz Dąbrowski, jest twórcą teorii „dezintegracji pozytywnej". Co to takiego? Wiktor Osiatyński w „Kulturze" (nr 46) tak ją „w największym skrócie" przedstawia: „Osobowość bowiem nie jest czymś, co zostało nam dane. Osobowości trzeba się z trudem i mozołem dopracowywać; nieraz przez całe życie. Trzeba zburzyć pierwotną harmonię popędów i instynktów. Przejść przez piekło szamotań, wahań i niepewności, by wreszcie przejrzeć i ponownie się zintegrować na wyższym, prawdziwie ludzkim poziomie. A potem stale walczyć z samym sobą, by integrację tę utrzymać". Nad tym warto się zastanowić nie tylko w wolnej chwili.

● Mieliśmy niedawno dwa konkursy pianistyczne. Jeden w stolicy, Chopinowski, sławny w całym świecie, i drugi w Słupsku, znany tylko melomanom krajowym. Ale po wysłuchaniu obu Maria Magdalena Janowska w refleksjach pt. „Marzenia o sławie", zamieszczonych we wrocławskim tygodniku „Wiadomości" (nr 46), dochodzi do takiej konkluzji: „Filharmonie, które od pewnego czasu są na własnym rozrachunku, starają się zapewnić sobie maksimum wpływów z każdego koncertu (...) Dla debiutantów więc w takim układzie właściwie nie ma miejsca. Żaden dyrektor filharmonii nie będzie ryzykował fiaskiem kasowym. I tak nawet najgenialniejszy pianista nie dostanie koncertu w filharmonii, bo nie ma nazwiska, a nie ma nazwiska, bo trudno dać się poznać nie grając nigdzie. Wyjście z tego błędnego koła jest chyba tylko jedno: podjęcie ryzyka przez instytucje muzyczne". W przemyśle jest już wielu dyrektorów — ryzykantów. Miejmy nadzieję, że pojawią się także w filharmoniach.

POPULARNOŚĆ

● „To jest ziemia mojej duszy" — pisał Stefan Żeromski o Kielecczyźnie, rozumiejąc pod tym w ogóle ziemię polską. Z okazji „Roku Żeromskiego" warto chyba przypomnieć popularność tego pisarza w naszym kraju. Tylko w okresie trzydziestolecia dzieła tego autora wydano w 11 milionach egzemplarzy, z tego „Przedwiośnie" było wznawiane 31 razy, „Ludzie bezdomni" 23 razy, „Syzyfowe prace" 19, „Popioły" 17. „Czytelnik" ukończył właśnie jubileuszową edycję „Dzieł". Z utworów dramatycznych najczęściej wystawiano „Uciekła mi przepióreczka" — ponad 30 inscenizacji po wojnie. Z okazji jej prapremiery w lutym 1925 roku J. Osterwa napisał do autora: „Zostanie w naszym żelaznym repertuarze. Perła nasza najdroższa". „Sułkowski" wystawiany był po wojnie 28 razy, natomiast niedokończony przez Żeromskiego „Grzech" też 30 razy i to w dwóch wersjach: oryginalnej, niepełnej, oraz uzupełnionej przez Kruczkowskiego. Wielką popularność przyniósł żeromskiemu film. Już w 1911 roku A. Bednarczyk zekranizował „Dzieje grzechu", co wywołało wielką burzę i trzeba było wyciąć „gorszące fragmenty". Ponownie sfilmował dzieło H. Szaro w 1933 roku, Michał Rusinek napisał wtedy: „Grzechem było zabranie się do „Dziejów grzechu" w ten sposób, w jaki się tego dokonało". Dwukrotnie ekranizowano przed wojną „Urodę życia" (1921 A. Niemiński i 1939 J. Gardan), także dwukrotnie „Wierną rzekę" (1922 K. Puchalski pod tytułem „Rok 1863" i 1936 L. Buczkowski), po jednym razie „Przedwiośnie" (1928), „Ponad śnieg" (1929), „Wiatr od morza" (1931) oraz „Rozę" (1936). Po wojnie mamy trzy ekranizacje: „Popioły" w reżyserii Andrzeja Wajdy przed 10 laty i ostatnio „Dzieje grzechu" oraz „Doktor Judym". Takiego bilansu nie osiągnął żaden inny pisarz polski.

CO ROBI WAJDA?

● Co robi w tej chwili Andrzej Wajda? Kieruje zdjęciami w warszawskim atelier, a jednocześnie pakuje manatki, bo wkrótce wyjeżdża do Anglii, aby nakręcić sceny na pokładzie parowca „Melita", na którym rozpoczynał swoją karierę morską młody Conrad. Chodzi zaś o ekranizację Conrada pt. „Smuga cienia". W październiku kręcono pewne sceny w Warnie, której port przy pomocy dekoracji udawał port w Bangkoku. A z Anglii samolotem do prawdziwego Bangkoku. Wajda od dawna nosił się z zamiarem ekranizacji którejś z powieści Conrada. Główną rolę w projektowanym kiedyś filmie „Jądro ciemności" miał grać Montgomery Clift, ale jego śmierć zniweczyła projekt. „Smuga cienia" powstaje w koprodukcji polsko-angielskiej, jednak niemal wszyscy aktorzy będą Anglikami. Wajdzie chodziło zarówno o bezbłędny akcent angielski, jak i sposób zachowania się, specyficzny u Anglików. Dlaczego właśnie ta powieść? Wajda powiedział: „Jest to opowiadanie o odpowiedzialności, którą kładzie na barki bohatera władza, w jaką wyposażył go dyplom kapitana. Zachwyca mnie u Conrada nieefektowność zakończenia: po prostu przypłynął, przyprowadził statek do portu i nie ma tu żadnego powodu do dumy, ponieważ był to jego obowiązek". No tak, ale ilu z nas pyszni się właśnie tym, że wykonało zwykły obowiązek?

noty i notki

Tak się jakoś dzieje, że o naszej Telewizji prawie wcale nie piszemy w „Kamenie". Dzisiaj krótko o kilku programach. Najpierw naturalnie o „Godzinie Edwarda Fijałkowskiego, prezesa Lubelskiej Spółdzielni Mieszkaniowej" (15 XI — program II). LSM znana jest w całej Polsce, więc realizator (warszawski) poczuł się rozgrzeszony i wszystko wpakował do studia. Było to dla niego jak i dla kamerzystów bardzo wygodne i... opłacalne. Z archiwum wyciągnięto fragmenciki dwóch filmów, z których jeden w ogóle nie dotyczył osiedli LSM i był do całej sprawy przyklejony na siłę. Tak wygląda, gdy w Warszawie odstawia się chałturę o Lublinie.

●

W codziennych programach „Obiektyw" prezentuje się osiągnięcia różnych województw. W poniedziałek 17 listopada w ciągu 20 minut pokazano „programy" aż z 13 województw: białostockiego, białskopodlaskiego, ciechanowskiego, chełmskiego, lubelskiego, łomżyńskiego, ostrołęckiego, płockiego, siedleckiego, skierniewickiego, suwalskiego włocławskiego i zamojskiego. Tak więc na przedstawienie problemów każdego z tych województw musiały wystarczyć dziewięćdziesiąt trzy sekundy. W rezultacie prezentuje się nam cukierkowate, nic nie mówiące (chociaż gadające) pocztóweczki. Ale znów: to łatwiej zrobić. A że telewidzowie się irytują? Nic nie szkodzi, abonament i tak zapłacą.

●

Chociaż wiele pism czepia się typowych przejęzyczeń Jerzego Ciszewskiego, ja twierdzę, że przede wszystkim zna się na piłce nożnej. Ale z językiem polskim jest rzeczywiście mocno na bakier, nawet pomijając owe przejęzyczenia. I jeżeli np. wybiera się on do Sosnowca, aby komentować mecz (dokładnie: połówkę), to powinien przedtem zajrzeć do „Słownika poprawnej polszczyzny" (PWN — cena 160 zł). Bo uparcie powtarzał, że grają piłkarze z Tychów, nazywając ich czasami tyszowianami. No i kompromitacja na cały kraj.

Śmialiśmy się zawsze z przysłowiowej już ignorancji Anglików na temat geografii. Ale u niektórych naszych rodaków zatrudnionych w tzw. publikatorach ta ignorancja też się ujawnia. „Sztandar Ludu" w nr 253 zamieścił korespondencję własną pt.: „Na paryskim Pchlim Targu". Aby rzecz uatrakcyjnić tekst opatrzono fotografią wieży Eiffla. Wyszło tak, jakby do tekstu o ogródkach działkowych na lubelskim Sławinku dodano fotografię z hali montażowej FSC. Zresztą od wieży Eiffla do Pchlego Targu jest znacznie dalej.

●

Wydawało mi się, że dawno minęły czasy przymusowej prenumeraty różnych czasopism. Ale z kącika łowieckiego „Kuriera Lubelskiego" (nr 251) dowiedziałem się, że wcale nie. Otóż każdy członek Polskiego Związku Łowieckiego, opłacający roczną składkę (przed rozpoczęciem roku) m u s i dodatkowo opłacić roczną prenumeratę „Łowcy Polskiego". Czyżby do czytania tego pisma trzeba było zmuszać?

●

W następnym numerze tegoż „Kuriera Lubelskiego" przeczytałem, że sędzia prowadzący spotkanie piłkarskie Motor — Olimpia ukarał czterech zawodników Motoru żółtymi kartkami, w sumie dając im zakaz gry w dziewięciu meczach. Bardzo źle to świadczy o tych piłkarzach, ale najciekawsze potem: „Przewidując to — wczoraj, po dłuższej przerwie wystąpił w Motorze bramkarz Adam Suszek". Jeżeli wierzyć anonimowemu autorowi notatki, mamy oto następcę pana Klimuszki. Dodajmy, że Suszek zastąpił grającego zwykle w bramce Dziełakowskiego, który właśnie już po meczu został ukarany zakazem grania w trzech meczach. Więcej niż pikantne.

●

Jako że krajan spod Hrubieszowa, warto rzecz rozpowszechnić. Otóż prof. Wiktor Zin zaczął pracować w operze. I to wrocławskiej z okazji jej trzydziestolecia. To znaczy wykonał scenografię do „Strasznego Dworu".

●

Rozrywka to rzecz przyjemna i pożyteczna, ale do pewnych granic. Tej granicy nie widzi dyrektor Zakładu Ośrodków Gier i Klubów Rozrywki w Zjednoczonych Przedsiębiorstwach Rozrywkowych, Alfred Freudenheim. W wywiadzie dla „Kulis" (nr 46) najpierw generalnie ponarzekał na władze różnych miast, że nie przydzielają mu lokali na instalowanie automatów, a potem pochwalił jeden jedyny Wałbrzych, bo „tam przekazano do naszej dyspozycji cały Dom Kultury". Czekam na przekazanie domów kultury w Lublinie, Chełmie, Białej Podlaskiej i Zamościu; będzie kłopot z głowy.

JOD

Kamena str. 14

ekran i widz

30 LAT KINEMATOGRAFII W POLSCE LUDOWEJ

NASZA kinematografia obchodzi swoje 30-lecie w Polsce Ludowej. 13 listopada 1945 r. ukazał się dekret Krajowej Rady Narodowej o utworzeniu Przedsiębiorstwa Państwowego „Film Polski". Dało to podstawy prawnoorganizacyjne dla rozwoju sztuki filmowej w odradzającym się i budującym nowe życie kraju.

Rodowód nowej polskiej kinematografii jest jednak nieco wcześniejszy, bowiem już 15 czerwca 1943 r. w Sielcach nad Oką powołana została Czołówka Filmowa I Dywizji Piechoty im. T. Kościuszki, której dziełem było kilka wydań „Polski Walczącej", w tym film „Bitwa pod Lenino". Czołówka, już pod nazwą Wytwórni Filmowej Wojska Polskiego, rozpoczęła latem 1944 r. wydawanie Polskiej Kroniki Filmowej i nadal towarzyszyła żołnierzom Wojska Polskiego w ich zwycięskim marszu aż do Berlina.

Przedwojenna polska kinematografia została zupełnie zniszczona przez okupanta. Nie ocalało ani jedno atelier czy laboratorium, przetrwali tylko nieliczni filmowcy. Trzeba więc było wszystko budować niemal od zera.

I tak, miesiąc po miesiącu, rok po roku, w trudnych warunkach technicznych, bez dobrego sprzętu zaczęły powstawać pierwsze filmy, najpierw dokumentalne, potem fabularne. Ileż to wzruszeń dały widzom w 1946 r. „Zakazane piosenki".

Przez pierwszych 6 lat po wojnie zrealizowano zaledwie 19 filmów fabularnych. W 1960 r. powstało ich 20, a w 10 lat później — 27. Na tym mniej więcej poziomie produkcja filmów fabularnych utrzymuje się do dziś, co oczywiście nie zadowala ani twórców, ani widzów. Najbliższe lata mają jednak przynieść zdecydowaną poprawę dzięki zamierzonej rozbudowie bazy wytwórczej. Obecnie już prawie wszystkie filmy fabularne realizowane są w kolorze. Ogółem w okresie 30 lat nasza kinematografia wyprodukowała około 180 filmów fabularnych i blisko 12 tys. filmów krótkometrażowych różnych gatunków.

Film polski zdobył sobie ustaloną renomę w świecie. W okresie 30 lat utwory naszych reżyserów uzyskały na międzynarodowych festiwalach ponad 1000 nagród i wyróżnień, z czego przeszło 420 przypadło filmom fabularnym, nagradzanym często wielokrotnie. Niektóre z tych filmów zdobyły światowy rozgłos. W omawianym okresie sprzedaliśmy do 80 krajów całego świata blisko 400 filmów fabularnych oraz około 2800 — krótkometrażowych.

Filmy rodzimej produkcji cieszą się też popularnością wśród naszych widzów, co obserwuje się zwłaszcza w ostatnich latach. Wśród około 220 filmów pokazywanych w ostatnich latach, co roku na naszych ekranach znajduje się przeciętnie dwadzieścia kilka polskich. Ogółem do kina chodzi u nas średnio około 140 mln widzów, z czego np. w 1974 r. 50 mln przypadło na filmy polskie. Jest to dobry znak dla jubilatki — polskiej kinematografii.

Odpowiedzi redakcji

A. S. Wrocław. Owszem, jakaś ludzka sprawa zawarta jest w każdym z nadesłanych opowiadań, posiadają jednak dziwną właściwość: przy dość sprawnym epiście nieumiejętność wkomponowania problemu w realia. Sytuacje — co najwyraźniej widać w opowiadaniu „Klęska i powrót" — wymyślone, papierowe. O ileż lepiej rzecz się przedstawia tam, gdzie fabuła jest zredukowana do minimum, a jeszcze lepiej — usunięta całkowicie. Można jednak mieć nadzieję, że przyszłość ukaże lepsze strony pańskiego pisarstwa. W tece redakcyjnej zatrzymujemy dwa wiersze: „Niezdecydowanie" i „*** (rozbity, rozszczepiony)".

Dariusz Z. Z jakich powodów nadesłane wiersze nie nadają się do publikacji, nie możemy wytłumaczyć, ponieważ — jak widać — Pan jeszcze nie ma wystarczającej orientacji co do tego czym jest poezja. Bardzo to jeszcze raczkujące, a jeśli zdarza się coś ciekawszego, jest rezultatem ujmującej młodzieńczej naiwności. Możliwe, że lepiej Panu będą wychodziły wierszyki humorystyczne, ale i do tego jeszcze ładny kawałek czasu.

J. J. Grudziądz. Jest to nie tylko kalka poetyki tradycyjnej niezręcznie w dodatku przyłożona, ale jeszcze poktaczny język. Tak się nie mówi, tak się nie pisze. „Tęsknota pragnień serca"? Jedno takie określenie wystarczy.

B. W. M. Piaski. Czy warto wydrukować wiersz, który tylko tyle, że spełnia — jak się to mówi — „warunek drukowalności"? W nadesłanej przesyłce, acz dość obfitej, nie zauważyłem niczego co zasługiwałoby na specjalną uwagę. Brak akcentów bulwersujących, zmuszających do zastanowienia. Samemu autorowi nie powinno zależeć na druku takich tekstów. Powtarzam, są poprawne, ale czy nie lepiej związać nadzieję z czymś ambitniejszym?

L. Ł. Rybnik. Uczyniła Pani wszystko, żeby rzecz zamazać, uniewyraźnić, pozbawić charakteru. Nie wiemy, kto w tej kawiarni siedzi, w związku z czym przychodzą mu na pamięć te obrazy, w końcu są to obrazy czego? Owszem, można zgodzić się, że Pani chciała pewne stany psychiczne rozegrać „pozapodmiotowo" i taki eksperyment da się nawet uznać za ciekawy. Ale realizacja? Tych kilka stroniczek potrafiło zawrzeć w sobie nudę całego rozdziału. Wniosek: oryginalna koncepcja nie wystarczy.

Z. E. Konstancin. Temat jest bardzo trudny: życie starych ludzi. Nic dziwnego, że się nie udało. Bo cóż, trochę apteki, trochę kota i ta śmierć. Chciała Pani być wierna realiom, niczego nie dodawać od siebie. Nawet psychologii. Ta droga zawiodła. Ale nie potrafiłbym zaproponować innej. Powtarzam: trudny temat.

M. K. Dąbrowa Tarnowska. Nie powiedziałbym, że mnie nie ujął pogodny, mimo świadomości przemijania, refleksyjny ton tych wierszy. Jednakże jest to typ poezji już dziś z wielu powodów nieaktualny. Cóż poradzić. Tango się jeszcze dziś zatańczy, ale charlestona?

C. P. Ostrołęka. Wiersze nie posiadają siły lirycznej. Wygląda na to, jakby Pan mówił bez przekonania. Także z kondensacją słowa coś nie bardzo. Sam Pan to zauważył dokonując w przesłanym tekście tych paru skreśleń. Stanowczo za mało, aczkolwiek zwartości nie osiąga się w sposób mechaniczny.

J. S. Dąbrowice. No nie. Może bym na wiersze liryczne spojrzał innym okiem, gdyby nie załączone „fraszki". Oto jedna z nich: „Niejednego zachwyca powabność jej lica". Uśmiałem się jak susel. (Makuszyński).

W. G. Olsztyn. Z nadesłanych „Odkryć" zatrzymujemy trzy. Mało? To prawda. Taki już los satyryka.

Anna. Czy to przypadkiem nie żart? Nawet z takiej małej próbki można się zorientować, że poezja się Pani nie interesuje. Trochę samotności, trochę tęsknoty — któż tego nie przeżywa, szczególnie na jesieni. Ale przeżyć a wyrazić to różnica. Tego drugiego Pani nie uczyniła. Weszła Pani w stereotyp w dodatku od dawna nie praktykowany. Proszę przeczytać pierwszy lepszy wiersz wydrukowany w prasie literackiej, a zrozumiemy się.

J. S. Lublin. Nie podała Pani nazwiska, a inicjały nieczytelne. Mimo to odnajdzie Pani odpowiedź dla siebie. Tak, w tych wierszach daje się wyczuć puls autentycznego przeżycia. Nie można odpowiedzieć kategorycznie „nie." Tylko jeszcze pracy a pracy. Do której zresztą zachęcam.

R. B. Lublin. Pozwoliłem sobie popatrzeć na tekst bez wspomnianej w liście metody „wynikania i przenikania", której niestety nie mogę zrozumieć. Jakie wrażenie? Owszem, duży napór doznania, przeżyć, przemyśleń, ale jakie to wszystko nieuformowane! Ta wielość treści wcale Panu nie wychodzi na dobre. Dławi Pana. Przypomina mi się film japoński, na którym „podaj mi szklankę wody" mówi się głosem, jakim u nas „ty zdrajco"! Ciszej.

M. P. Warszawa. Mimo wszystko odnosze wrażenie, że Pani za dużo pisze. No, trochę za dużo. Dlatego sformułowania mimo że ciekawe, sprawiają wrażenie zbyt pośpiesznie rzuconych. A i sporo przy tym — niestety — mielizn. Artykuł „Ufność bez zadufania" zawiera za dużo niejasności, byśmy mogli z niego skorzystać. Ale jesteśmy pewni, że coś się z tego w przyszłości wyklaruje. Może już niedalekiej.

A. G. Puławy, S. P. Kraków, B. W. M. Piaski, J. S. F. Łódź, J. W. Częstochowa, B. M. Warszawa, M. D. Częstochowa — nie skorzystamy.

Szyfrogram literacki (nr 24)

Odgadnąć 17 wyrazów pomocniczych, zastąpić liczny literami, a te z kolei wpisać w ponumerowane kratki diagramu i rzędami poziomymi odczytać rozwiązanie — wiersz poety i pisarza, którego setną rocznicę urodzin obchodzimy w listopadzie tego roku. Początkowe litery pierwszych 14 wyrazów dadzą jego imię i nazwisko. Pojedyncza czarna kratka oznacza przerwę między słowami, podwójna między zdaniami.

Wyrazy pomocnicze:

1) globtroter, obieżyświat — 72, 105, 78, 4, 66, 32, 97, 58.
2) francuski w głośnym filmie Williama Friedkina — 7, 43, 85, 62, 17, 23, 76.
3) zbiór starych aktów i dokumentów — 6, 92, 65, 57, 70, 44, 11, 29.
4) historyk, kronikarz — 16, 88, 42, 91, 33, 87, 37, 14, 102.
5) literat irlandzki, laureat nagrody Nobla — 64, 39, 104, 77, 50.
6) forma obrotu towarowego, typowa dla naszej gospodarki rolnej — 103, 46, 1, 89.
7) tracenie włosów na głowie — 59, 18, 30, 90, 84, 19, 31, 8.
8) roślina o silnym, przyjemnym zapachu, zwana też litworem lub korzeniem archanielskim — 24, 79, 56, 101, 21, 82, 94, 26, 35, 38, 60, 10.
9) róg domu — 100, 75, 71, 83, 69, 48.
11) z Nagłowic — 25, 15, 95.
10) osłona, umocnienie — 55, 13, 53, 12, 98, 63, 73.
12) łóżka na statku — 2, 36, 68, 34.
13) rodzaj szału występujący u tubylców na Malajach — 67, 61, 3, 54.
14) koleżanka lubelskiego „Żuka" — 41, 45, 93, 51.
15) na głowach rycerzy lub... strażaków — 5, 80, 52, 99, 49.
16) ludowy taniec kubański, rozpowszechniony około 1954 roku — 9, 20, 22, 27, 47.
17) punkt centralny — 40, 74, 28, 81, 96, 86.

1	2	3	4	5	6	7	8	9		10	11	12
	13	14	15	16	17	18		19	20	21		22
23	24	25	26		27	28	29		30	31	32	
33	34	35	36		37	38	39	40	41	42	43	
44	45	46	47	48	49	50	51	52			53	54
55	56	57	58	59	60	61		62	63	64	65	66
67	68	69		70		71	72	73	74	75		76
77	78	79	80		81	82	83	84	85	86	87	
88		89	90	91	92	93	94		95	96	97	98
99		100	101	102	103	104	105					

Rozwiązanie można nadsyłać w ciągu 10 dni od daty ukazania się numeru pod adresem redakcji (skr. poczt. 231 20-951 Lublin). Wśród autorów prawidłowych rozwiązań rozlosujemy bony książkowe.

Rozwiązaniem szyfrogramu z nr 22 był fragment opowiadania Ernesta Hemingwaya „Stary człowiek i morze":

„Usłyszał, że rumpel pęka, więc pchnął rekina strzaskanym trzonkiem. Uczuł, że go wbił, a wiedząc, że końce ma ostre, wepchnął go jeszcze głębiej. Rekin puścił rybę i cofnął się ciężko".

Za prawidłowe rozwiązanie szyfrogramu literackiego nr 22 cztery bony książkowe po 40 zł każdy, wylosowali: Andrzej Wosik, 09-500 Hostynin, skr. poczt. 55; Janusz Adrianowicz, 58-500 Jelenia Góra, ul. Nowowiejska 2; Natalia Kania, 35-111 Rzeszów, ul. Krakowska 1/4; Ryszard Opoka, 20-625 Lublin, ul. Leonarda 11 m. 20.

44 ODPRYSKI STANU WYJĄTKOWEGO — MŁODOŚCI

Stanisław Jan Królik

PRZYZNAM się, „Kilka chwil" otwierałem ze sporą obawą. Obawą przed rozczarowaniem. Autor, mimo młodego wieku dwudziestu dziewięciu lat, należy już do tej nielicznej w końcu grupy pisarzy, których książki zawsze obserwowane są uważnie. Zbiór esejów „Świat nie przedstawiony", którego współautorem — obok Adama Zagajewskiego — był właśnie Julian Kornhauser, wywołał najwięcej polemik i komentarzy spośród książek wydanych w ciągu ostatnich lat. Jeżeli zatem rozpoczynałem lekturę z obawą to dotyczyła ona problemu, czy powieść nie będzie płaską ilustracją tez postawionych w „Świecie nie przedstawionym" tez, z którymi w dużym stopniu się zgadzam. Szukałem wzbogacenia problematyki a nie wiernego wypełnienia schematu.

Przed dwu już laty, omawiając na tych samych łamach tom wierszy Kornhausera, „W fabrykach udajemy smutnych rewolucjonistów", zwracałem uwagę na fakt „niepodzielności" jego wierszy. Wiersze te, dzięki konstrukcji, tylko w całości ukazują pełnię treści, wypadkową, niejednokrotnie zaskakująco zestawionych fragmentów. Z podobnym zjawskiem spotykamy się w „Kilku chwilach". Niestety, aby wkroczyć w klimat powieści musimy poprzestać na przytoczeniu urywka jedynie.

„Kochana ciociu, nie przytoczyłem ci tej opowieści w celu lepszego zrozumienia literatury austriackiej, ale po to, aby przedstawić ci moją obecną sytuację. Jest to sytuacja dwuznaczna, w której bierzemy wszyscy udział, nikt nie chce przyznać się do swoich myśli. Rozmawiając o impresjonizmie, myślimy w gruncie rzeczy o manifestacjach robotników. Poeta okazuje się milicjantem w stopniu sierżanta, a nonkonformista zaciekłym tradycjonalistą. Ale bez przerwy rozmawiamy i działamy tak, jakby wszystko było prawdą. Ciociu, najmilszy mój Broniewski, rabnij do mnie list na temat cyganerii bronowickiej, która — o ile wiem — cechowała się zaborczą wyobraźnią, zacierająca granicę między rzeczywistością a literaturą: »my jesteśmy jak przeklęci, że nas mara, dziwo nęci, wytwór tęsknej wyobraźni«".

Fragment ten, zubożony przez brak kontekstu, jest na tyle reprezentatywny jednak dla książki oraz techniki pisarskiej Juliana Kornhausera w ogóle, że może stanowić niejako autointerpretację, może być pomocnym dla zrozumienia pierwszego stricte prozatorskiego utworu świetnego poety i dynamicznego publicysty.

Książka składa się z czterdziestu czterech (44) cząstek nierównej wielkości. Pozornie nie łączą się one ze sobą logicznie, sprawiają wrażenie, że jedynie w ramach szeroko pojętej rzeczywistości mogą występować obok siebie jednocześnie. Symultanizm pozwala na kompleksowe odzwierciedlenie przynajmniej atmosfery końca lat sześćdziesiątych i początku siedemdziesiątych. Notatki z lektur, fragmenty przeprowadzonych albo wyimaginowanych rozmów, tytuły wierszy kolegi z grupy „Teraz" (Wita Jaworskiego), informacje ustne i prasowe, składają się w całość „symboliczną", podkreśloną dodatkowo „magiczną" liczbą 44 części. Jeżeli określenie liczby czterdzieści cztery opatrzone zostało cudzysłowem, to dlatego, że częsta u Kornhausera autoironia obejmuje również i całość powieści, skoro przeczytamy: „oczywiście mogłem ją (powieść — przyp. mój S. J. K.) zakończyć zupełnie inaczej, ale do diabła, czyż nie mogę sobie pozwolić na ekstrawagancję?".

Rozpatrywana w innym wymiarze książka imituje dziennik młodego intelektualisty. W takim przypadku naturalne jest przemieszanie ze sobą składników różnorodnych w amalgamat zawierający zarówno notatki z trudnego zbiorowego doświadczenia studenckiego i teoretyczne rozważania o możliwościach i celach literatury.

Szczególnie na początku powieści narzuca się pokrewieństwo z prozą Brunona Schulza, przedstawiciela pokolenia niepotrzebnych inteligentów. Nie chodzi o „poetyckość" Schulza w zestawieniu z zastosowaniem sprawdzonych już w wierszach sposobów przedstawiania rzeczywistości (Kornhauser prozaik to ten sam, który wcześniej publikował wiersze, artykuły i felietony, technika pisarska jest podobna). Nawiązanie do doświadczenia Brunona Schulza polega na sfabrykowaniu prywatnej kosmogonii, w której najważniejszą rolę odgrywa postać ojca, służy ona, jak papier lakmusowy, do weryfikowania i oceniania bohatera powieści. Można bez obawy stwierdzić, że ojciec w powieści występuje znacznie częściej niż jest wymieniany z imienia. Każda myśl, gest, czyn czy wypowiedź bohatera „ustawiana jest" wobec, albo ku, albo przeciw ojcu. „Mateusz, Piotr, Dawidek, Albertynka, ja, parę latających jaskółek z papieru, ruchome miasto i oczywiście mój ojciec jesteśmy bohaterami tej powieści. Pisaliśmy ją wszyscy razem. Dlatego jesień, która była świadkiem powstania tej powieści, nie mającej ani początku, ani końca, zatrzymała się dłużej na naszym oknie, wyglądała jak chudy transparent z napisami politycznymi. Nikt i tak nie wierzył w prawdziwość tych napisów, oczywiście z przekory. Nie dawaliśmy za wygraną, tworzyliśmy nową historię, pełną ślepych uliczek, parad wojskowych, znikających ulic i trzęsącego się uniwersytetu".

Zasadnicza różnica, która każe przyznać Kornhauserowi oryginalność polega na tym, że jego kosmogonia zwrócona jest bardziej na zewnątrz niż spotykamy to u Schulza. Jeżeli pojawiają się problemy jednostki, to zawsze podkreślone jest uczestniczenie tej jednostki w gronie podobnych, można rzec: w ramach pokolenia.

Lektura „Kilku chwil" nie budzi rozczarowania, świetne tempo, zdania pulsujące życiem, w sposób realistyczny opowiadają „o pewnym śnie". Jeśli pozostaje niedosyt to zawiera on w sobie zaproszenie do dopowiedzenia niewypowiedzianego. Świadczy o tym, że jeszcze trzeba myśleć oraz pisać o tym co było w niedalekiej przeszłości i co się dzieje obecnie. Jedna, nawet najgrubsza książka tego nie „odfajkuje".

Julian Kornhauser: Kilka chwil. Kraków 1975, Wydawnictwo Literackie, s. 158, nlb. 1.

Pismo Lubelskiego Oddziału Związku Literatów Polskich

Założyciele: Kazimierz Andrzej Jaworski i Zenon Waśniewski

Redaguje zespół: Maria Bechczyc-Rudnicka, Jerzy Dostatni (sekretarz redakcji), Marek Adam Jaworski (redaktor naczelny), Zygmunt Mańkowski, Zygmunt Mikulski (kierownik działu literackiego) — członkowie Kolegium Redakcyjnego oraz Mirosław Derecki, Tadeusz Jasiński, Ireneusz J. Kamiński (kierownik działu publicystycznego) i Maciej Podgórski. Redaktor techniczny — Irena Komosa, korektor — Ewa Dybek.

Cena prenumeraty krajowej rocznie 78 zł, półrocznie 39 zł, kwartalnie 19,50. Prenumeratę przyjmują Oddziały RSW „Prasa—Książka—Ruch" oraz urzędy pocztowe i doręczyciele w terminach:
— do dnia 25 listopada na styczeń, I kwartał, I półrocze i cały rok 1976,
— do dnia 10 każdego miesiąca (z wyjątkiem grudnia) poprzedzającego okres prenumeraty.

Jednostki gospodarki uspołecznionej, instytucje i organizacje społeczno-polityczne oraz wszelkiego rodzaju inne zakłady pracy składają zamówienia w miejscowych Oddziałach RSW „Prasa—Książka—Ruch".

Zakłady pracy w miejscowościach, w których nie ma Oddziałów RSW oraz prenumeratorzy indywidualni zamawiają prenumeratę w urzędach pocztowych lub u doręczycieli.

Prenumeratę ze zleceniem wysyłki za granicę, która jest o 50% droższa od prenumeraty krajowej, przyjmuje Biuro Kolportażu Wydawnictw Zagranicznych RSW „Prasa—Książka—Ruch" ul. Wronia 23, 00-958 Warszawa.

Redakcja nie zwraca materiałów nie zamówionych i zastrzega sobie skróty. Kierownik działu literackiego przyjmuje interesantów w poniedziałki i piątki w godz. 14—16.

Wydawca: RSW „Prasa — Książka — Ruch" Lubelskie Wydawnictwo Prasowe. Lublin, ul. Jasna 6. Druk: Lubelskie Zakłady Graficzne im. PKWN, Unicka 4. Zam. 2592. 14.XI.75.

Numer łamał Mieczysław Psujek, drukował zespół pod kier. Wacława Kopcia

Nr indeksu: 36400/3625

Adres redakcji: 20-029 Lublin, ul. Skłodowskiej 2/1

Telefony: sekretariat, sekretarz redakcji i naczelny redaktor 255-93, dział publicystyki i literacki 275-35

Korespondencje zwykłe prosimy kierować pod adresem: 20-950 Lublin 1, skrytka pocztowa 231; polecone i ekspresowe — pod adresem redakcji.

CUD W LUBLINIE

LUBLIN ma szczęście do cudów. Jak obliczają eksperci, jeden cud zdarza się tu w ciągu lat dziesięciu, co jest powyżej średniej krajowej. Kolejny cud objawił się w „Fa-iku". Restaurację przemeblowano, zmieniono nazwę na „Karczmę Słupską" i przestano truć konsumentów. Sukces kosmiczny. Nic dziwnego, że dzienniki lubelskie szaleją, a dyrektor PPG, Grzegorz Jałowiec, chodzi w glorii.

O gastronomii słupskiej pisaliśmy w „Kamenie" kilkakrotnie: pierwszy raz już latem 1972 roku, proponowaliśmy dyrektorom różnych LZG — Północ, Południe, Zachód, Wschód, Północny-Zachód, Południowy-Wschód, aby ruszyli się zza biurek i podpatrzyli innych. Ostatecznie człowiek poza spaniem i ewentualną pracą musi jeść i pić (przede wszystkim herbatę, kawę, wodę mineralną; komu mało niech sobie uzupełni). To jedzenie i picie zapewnia człowiekowi dom, stołówka i zakład gastronomiczny. Dom i stołówkę pozostawiam w cieniu rozważań, ostatecznie tam się rzadko zagląda do garnków. Interesuje mnie natomiast zakład gastronomiczny, inaczej mówiąc — restauracja, którą niemal każdy z nas zmuszony jest przynajmniej raz w roku odwiedzić.

Gdyby komuś zechciało się zebrać wszystkie krytyczne uwagi, które w ciągu ostatnich dziesięciu lat padły pod adresem lubelskiej gastronomii (wyrażane na łamach prasy, jak i w poszczególnych książkach zażaleń) mogłaby z tego powstać niejedna praca magisterska, a kto wie czy i nie doktorska. Dyrektorzy, owszem, od czasu do czasu reagowali na krytykę, bywało, że przesyłali dość sążniste wyjaśnienia, ale tak po prawdzie niezbyt wiele się w praktyce zmieniało. Poza kategoriami, oczywiście, łatwo bowiem przekształcić „czwórkę" w „trójkę", a „trójkę" w „dwójkę". Rozumiemy się, prawda? Przykłady też znamy. Oczywiście reorganizowały się również dyrekcje. Byłoby interesujące (też temat do pracy magisterskiej), ilu pracowników dyrekcji przypada na pracowników, nazwijmy ich — produkcyjnych, i jak tu zmieniały się proporcje. Osobiście, jako konsumenta, zbytnio mnie to jednak nie obchodzi (choć jako o b y w a t e l a powinna!). Mam jednak prawo wymagać, aby nikt nie robił mi łaski podając rumsztyk czy schabowy. I mam prawo żądać, aby owo danie można było bezpiecznie wziąć do ust. Powiedzenie: p ł a c ę i w y m a g a m również w ustroju socjalistycznym nie traci na aktualności.

Oczywiście i ja, panie dyrektorze Jałowiec — proszę wybaczyć, że zwracam się do Pana w ten sposób, ale uważam, że za konkretne sprawy odpowiadają k o n k r e t n i ludzie, a nie anonimowe dyrekcje — wiążę duże nadzieje, choć nie przesadne, z „Karczmą Słupską". Wprawdzie na uroczyste otwarcie przedstawiciela „Kameny" Pan nie zaprosił, ale może to i dobrze: zwalnia to redakcję od prawienia komplementów. Nie mniej niżej podpisany był, a owszem, próbował polewek, nie odbiegają one w smaku od tych, które pił w Słupsku, licho jednak wie, co się stanie, gdy ekipa słupska opuści nasze miasto. Doświadczenia z „Dworku Grafa" (z okresu, gdy znajdował się pod opieką kucharzy z Debreczyna) są dość pouczające. Zestaw dań można by jednak rozszerzyć. Pożyjemy, zobaczymy...

Nasuwa się drobne pytanie: co z polewką myśliwską? Tu trzeba wyjaśnić: polewka myśliwska to nie zupa, ale wino z żółtkami, podawane na gorąco. W Słupsku cena takiej polewki jest bardzo niska. Po prostu przygotowuje się ją z wina „patykiem pisanego". Dyrektor słupskiej gastronomii powiedział kiedyś do mnie: „Po co opracowywać recepturę z wina gronowego i ustanawiać wysoką cenę? Czy ja będę w stanie skontrolować, jakie f a k t y c z n i e wino jest używane? Czy przypadkiem nie ma podmiany gatunków?"

Dalej. Po co w „Karczmie Słupskiej" sprzedaje się piwo? Już następnego dnia po otwarciu można było w lokalu zauważyć różne zapijaczone postacie. Na wielu stolikach stały butelki z wódką i butelki z piwem. Jeśli „Karczma" ma być wizytówką lubelskiej gastronomii (a, jak na razie, karmią tu całkiem dobrze), trzeba zrobić wszystko, aby nie dopuścić do przekształcenia się jej w najzwyklejszą pod słońcem mordownię. Czy ja wiem? Gdyby jednak sprzedawać tu wysokogatunkowe koniaki, może wówczas pójście na kolację do „Karczmy Słupskiej" byłoby swego rodzaju... snobizmem?

A tak w ogóle nie wpadajmy w euforię. Jedna jaskółka, która jeszcze nie zdążyła polatać, a już ją lekko podskubują, wiosny nie czyni. Ze swej strony z niecierpliwością czekam na kolejny cud: metamorfozę „Trójki". To, co tam serwują w charakterze „gołąbków wołyńskich", woła o pomstę do nieba. Czy nie udałoby się sprowadzić jakiegoś kucharza z Brześcia czy Łucka, który by po prostu pouczył lubelski personel?

MAJ

P.S. JOTEL, autor minikroniki w „Sztandarze Ludu", występuje przeciw nazwaniu hotelu w Chełmie imieniem Kamena. „Znam — pisze — spółdzielnię szewców, która nosi imię Stefana Żeromskiego. Widać i w Chełmie nie brak jeszcze ludzi, którzy wiedzą, że gdzieś dzwonią, ale nie bardzo orientują się, w którym kościele". A ja ze swej strony znam różne bardziej i mniej poważne firmy, które noszą imiona muz z greckiej i rzymskiej mitologii, i nikogo to nie razi.

Ostatecznie nie każdy musi umieć rozróżniać kościelne dzwony, ale po co wszędzie podpierać się Żeromskim? Że niby rocznica?

minuta myślenia

Z czytania niedostatecznie

„ŻYCIE Literackie" (nr 44 i następne) przeprowadziło ankietę na temat, jakich czytelników życzą sobie pisarze. Aczkolwiek czytelników pisarz nie wybiera, raczej na odwrót, celowość takiej ankiety istnieje. Wypowiedzi mogą być nawet ciekawe Szczególnie wtedy, kiedy pytanie potraktuje się jako tematyczny pretekst, a nie tematyczną prekluzję

Organizatorzy o tym wiedzieli, nie wiedzieli natomiast, że ankieta posłuży komuś w wersji trzeciej: jako sposobność do inwektywy. Ireneusz Iredyński nadesłał odpowiedź: „Zależy mi na czytelniku inteligentnym". Koniec cytatu, koniec tekstu.

Zauważmy, że aktem ironii objęci zostali również pisarze. Ireneusz Iredyński przypuszczał słusznie, że każdy z nich będzie się starał przekazać możliwie pełny obraz swego stosunku do publiczności czytającej i uczyni to w wypowiedzi o rozmiarze na ogół spotykanym, dlatego zdobył się na „oryginalność": strzelił zdaniem — prztyczkiem mającym zdystansować również i ten konwencjonalny zamiar. Co tam analizować, przypuszczać, optować. Jak się ma dzięki wrodzonej inteligencji trafne zdanie, wystarczy słówko, a znaczenie nazwiska nada mu ciężar gatunkowy przewyższający tony wywodów. Redakcja nie mogła postąpić inaczej niż zgodnie z zobowiązaniem to zamieścić, na skutek czego szarzy czytelnicy otrzymaliśmy aforyzm o lapidarności Stanisława Jerzego Leca plus nieaktualną fotografię Samego Autora. Co za gratka! Dowiedzieliśmy się, jak wyglądał Ireneusz Iredyński lat temu dwadzieścia.

„Na czytelniku inteligentnym". Zapamiętajmy to życzenie. Do lektury Ireneusza Iredyńskiego przystępujmy z należytym przygotowaniem. Przecież nie Kazimierz Brandys, nie Jerzy Ficowski (na dobrą sprawę prawie nie zauważone przez krytykę świetne „Czekanie na sen psa"), nie Andrzej Kijowski, nie Hamilton wymagają pewnych szczególnych czytelniczych predyspozycji, lecz autor scen o specjalnie skomplikowanej wymowie, Ireneusz Iredyński. Listonosz przychodzi z niedopiętym rozporkiem, a wiadomo, że był piętro niżej u pewnej pani. Czytelniku, nie zbłaźnij się, masz przed sobą tekst na inteligencję!

Skromność pisarza? Nie oczekujemy jej. Nie oczekujemy w znaczeniu postawy, jaka przystoi przedszkolance, konduktorowi PKS, portierowi restauracji otwartej do późnych godzin nocnych. Pisarz ma przed sobą zadanie wymagające wysokiej mobilizacji władz psychicznych i jak sportowiec musi się ważyć na więcej, niż dopuszcza samo opanowanie rzemiosła, by osiągnąć właściwy rezultat.

Z postawy przeciętnej „akuratności" nic nie wyjdzie, potrzebny jest autodoping. Ale właściwie ta okoliczność powinna wzbogacić go o doznania psychiczne najdalsze od zachwytu samym sobą. Pisarz, który na tym polu popełnia kiks, sam sobie wystawia fałszywe papiery. Zaczynam wątpić, zaczynam linią powątpiewania obwodzić w lekturze nawet te fragmenty, które mnie początkowo przekonały, czy choćby tylko zastanowiły, bo przypuszczam, że to przekonanie i to zastanowienie odbyło się nie za sprawą autora, ale za sprawą zbyt wiele zasługi autorowi przyznającej mojej właśnie intencji. A wreszcie w reakcji na co Ireneusz Iredyński część swoich czytelników odsyła do kąta? Nakłady idą, czasopisma drukują, publiczność czyta. W reakcji na to, że jeszcze nie została wysunięta jego kandydatura do nagrody Nobla?

I jak tu nie mówić o warszawskim partykularzu. Ten peimski wynika z psychozy niższości. Ale ten warszawski — z psychozy wyższości. Wyższości, jakże często realizowanej w stylistyce łabędzia na stawie i jelenia na rykowisku. No, pokrytych znacznie lepszym werniksem, to z całą rewerencją przyznać należy. Tylko o ile w owym dziś już mitologicznym Peimiu hierarchia weterynarz-aptekarz-komendant straży pożarnej posiadała niejaką stabilność, co nawet tworzyło pewien pozytywny system lokalnych kryterów, o tyle w środowisku partykularza warszawskiego konieczna jest stała licytacja. Na pozę, na gest, na zadęcie. Na Gombrowiczowską „minę". Nieustannie trzeba ją robić, bo inaczej wychodzi się ex revolutionibus orbium coelestium. Z orbity. Z socjety. Z tapety.

Nie za wiele potrzeby mają zastanawiania się nad tym, czym jest dzisiaj pisarz. Dawniej sprawował rząd dusz, później był tychże dusz inżynierem, dzisiaj kwestia jest niepokojąco otwarta i rozlegają się głosy niwelujące tę funkcję szeregiem przemian zaszłych w cywilizacyjnej współczesności. Niech będzie, ale wbrew wszystkim futurologicznym kasandrzeniom okazuje się, że — niestety — słowo, nawet to najtradycyjniejsze, bo drukowane, nie spada w popycie, na odwrót zaś: czasopisma objętościowo rosną i tak nie mogąc wchłonąć atakujących je tekstów. Co zatem z rolą literatury? Nie moje zmartwienie. Wiem, że będę czytał i czytał jak długo umożliwi mi to rosnąca w moich okularach ilość dioptr. I wolałbym się do czytania nie zrazić. I wolałbym nie mieć do czynienia z kogucim wyskokiem któregoś z autorów. Bo wtedy, jako czytelnik, sam na siebie muszę patrzeć z podejrzeniem. I powątpiewaniem, czy powinienem czytać. Tego właśnie autora.

Ijon

— Dzieci! Mikołaj tatusia przyniósł...

Rys. W. Fuglewicz

KOCI PAZUR

Ziemowit Samożycie

(21)

Do pierwszego kwietnia było jednak coraz bliżej. Po październiku, w miarę ciepłym, nadszedł listopad, obfitujący w wiele wydarzeń. Michał dwoił się i troił w redakcji, jeździł na konferencje, rozmawiał z delegatami, pisał po nocach i prawie na nic nie miał czasu. Znajomość z Mirką zakończyła się raptownie, nie telefonowali już do siebie, nie szukali się wzajemnie.

Pewnego wieczoru, po powrocie z terenu, nieco zziębnięty, wstąpił do klubu „Dziura", w którym nie był już od dawna. Po wprowadzeniu do sprzedaży „Żytniej" wrócił tu stary duch. Nowy kierownik, Wisłaj, który dotychczas grzebał się w papierkach i którego w ramach przesunięć personalnych tutaj ulokowano, miał minę bezradną, jak dziecko. Zastał niemal pustą kasę i teraz gimnastykował się, jak ożywić działalność kulturalną, zwłaszcza, że rada klubu istniała raczej w teorii. Bywalcy klubu zbytnio się tym nie martwili, przychodzili tu pogadać, popić, poflirtować i byli najszczęśliwsi, jeśli nikt się nimi nie interesował. Wszelkie imprezy artystyczne mąciły dobry nastrój. Należało je odczekać cierpliwie. W końcu bufet znów rozpoczynał normalną pracę, a był to chyba jedyny bufet w mieście, w którym niekiedy, przed dwudziestą trzecią, kończył się zapas alkoholu... przeźroczystego. Nolens volens, choć z niesmakiem, sięgano wówczas po koniaki, winiaki i wódki kolorowe. Wino miało mniejsze wzięcie nawet wśród pań.

— Co słychać? — zapytał Michał.

Wisłaj spojrzał na niego spod okularów.

— A co ma być słychać? Sam widzisz, jak chleją.

— Ostatecznie nie piją samogonu. W jakiś sposób ten pieniądz wróci do społeczeństwa.

— Ale co ja się przy tym nadenerwuję? Nie, to praca nie dla mnie. Tu trzeba mieć stalowe nerwy.

— To po coś się godził?

— A co miałem robić? — odpowiedział pytaniem na pytanie.

— Gdzie świat kulturalny może sobie spokojnie popić? — wtrącił się do rozmowy Jurek Budyniewicz, który właśnie omawiał jakieś pilne sprawy redakcyjne z korektorką. Radek Piwiarczyk przytaskał z bufetu kilka kieliszków, co zdarzało mu się raczej rzadko, i proponował wspólne uczczenie dzisiejszego wieczoru. Budyniewicz nie zważał na niego i ciągnął dalej:

— Miałem dzisiaj strasznie ciężki dzień, musiałem przygotować kilka zapasowych kolumn i napisać dwa artykuły. No bo co, żyć z czegoś trzeba, prawda?

Michał był głodny, pośpieszył do bufetu.

— Co jest?

— Jeszcze znajdzie się bigos, ale już ostatni.

— To poproszę. Nie rozpieszczacie tutaj klientów...

— Słabe zaplecze.

Bigos był wodnisty. Michał jeszcze nie zdążył do połowy opróżnić talerza, gdy zjawił się Cześkowiak.

— Cześć, stary. Wypijesz kieliszeczek?

— Widzę, że ty przysiadłeś się z... herbatą?

— Tak, ale mieszaną. Szklanka herbaty i pięćdziesiątka koniaku. Znakomite. Wiesz, stary, miałem ostatnio występ w terenie. Wchodzę na scenę, a tu publiczność wyje z zachwytu. Nie jest źle, myślę sobie, ma się tę popularność. Śpiewam, ale sala nadal niespokojna, śmieją się. Dobrze, dobrze. Widocznie tekst dowcipny. Jestem za kulisami i tu słyszę: „Zapnij rozporek!"

— A co poza tym?

— Żyje się. Słyszałeś ten dowcip o Kissingerze?

— Nie.

— Kissinger mówi do swego współpracownika pana X: „Chciałby się pan ożenić z córką prezydenta Forda?" „Dlaczego nie, ale czy ona mnie zechce?" „Ja to załatwię". Kissinger idzie do Forda i pyta: „Chciałbyś, aby twoja córka wyszła za mąż za wicedyrektora znakomitego banku?" „Jeszcze taka młoda..." „Tak, ale trafia się dobra partia, na starość będziesz miał jak znalazł". „Warto by o tym pomyśleć". Teraz Kissinger udaje się do dyrektora banku. „Chciałbyś mieć zastępcę, który byłby zięciem prezydenta?" „Oczywiście! Ale jak to zrobić?" „Po prostu. Mianujesz wicedyrektorem mego współpracownika, pana X.". Świetny dowcip, nie?

Z drugiego stolika dobiegły słowa ostrej utarczki:

— Panie Gęsicki, z pana jest żaden dziennikarz! No, powiedz pan, coś pan w życiu napisał? Kto pana zna? Kto o panu coś wie? Powiem panu, że pan jest gówniarz, a nie dziennikarz.

— Pan mnie obraża.

— Czy pana w ogóle jest jeszcze ktoś w stanie obrazić? Pan sam się obraża wypisując takie bzdurki.

— To jednak coś piszę...

— Nic pan nie pisze. Zwykłe bzdety.

— A co pan takiego wielkiego stworzył?

Cześkowiak uśmiecha się.

— Widzę, że mój przyjaciel jest dzisiaj w bojowym nastroju. Podejdę do niego, przywołam go do porządku. Jeszcze się pobiją.

Michał rozejrzał się po sali. Ujrzał w kącie, samotnie siedzącego przy stoliku, Bobra. Miał przed sobą kartkę papieru. Ten nigdy nie tracił czasu, zwłaszcza, kiedy maksikronika znów wróciła na łamy Gazety.

— Kogo bierzesz dzisiaj na warsztat? — Głośno wypowiedziane słowa dotarły do Bobra. Podniósł głowę...

— Proszę państwa, zamykamy bufet, proszę schodzić na dół! — Kierownik Wisłak był na posterunku. Tymczasem przy bufecie tłum narastał, na gwałt starano się o zapasy.

Bóbr chyba nie skończył maksikroniki.

(Cdn.)